



SPIS TREŚCI

Stefan Glowacz o wspinaniu i filmie.....	1
Pochwała gór.....	2
Zapomniane ściany, ukryte problemy (J. Kurczab i A. Paszczak).....	2
Porażka goni porażkę, czyli alpejski sezon Polaków – zima 2006 (J. Radziejowski).....	6
Zimowy sezon w Tatrach (M. Ciesielski).....	8
Nowe drogi w Tatrach (M. Pronobis).....	12
Lotos i <i>Fantasia</i> (D. Kaszlikowski).....	13
Chiny – góry Qonglai (B. Ceranka).....	17
Karakorum 2005 (R. Sławiński).....	23
Zeszłego roku w Dolinie (M. Ciesielski).....	26
Yosemite 2005 (A. Pieprzycki).....	29
Lody – made in Kalifornia (T. Bender).....	31
W górach Boliwii – Cordillera Real (K. Konopka i A. Sławiński).....	33
Cerro Torre – <i>Compressor Route</i> (K. Belczyński).....	37
Mistrzostwa i puchary (A. Kamiński).....	38
Puchar Polski w narciarstwie wysokogórskim 2006 (J. R. Bilski).....	42
Przyszłość narciarstwa wysokogórskiego w Polsce (J. R. Bilski).....	43
Bieg „dookoła Pieca” (M. Głogoczowski).....	43
Mistrzostwa Świata w narciarstwie wysokogórskim.....	44
V Międzynarodowy Konkurs Fotografii Jaskiniowej.....	45
Proyecto Cheve (K. Biernacka i M. Gala).....	46
Rozmaiłości.....	48
Nowości wydawnicze.....	52
Asekuracja na wędkę (J. Czech).....	53
Regina Kardaś (1949 – 2005).....	55
Heinrich Harrer (1912 – 2006).....	56
Tadeusz Rojek (1941 – 2005).....	56
Józef Frączek (1920 – 2006).....	57
Andrzej Zboiński (1935 – 2006).....	58
Od redakcji.....	59

Okladka: Cerro Torre od południowego wschodu

Fot. J. Radziejowski

Obok: Linia drogi *Fantasia* na Tagouimt N'Tsouiannt (Taghia,
Atlas Wysoki).

Fot. i Topo.: D. Kaszlikowski

s. 1: Stefan Glowacz w „Klubie pod Jaszczurami”.

Fot. W. Słowakiewicz

Stefan Glowacz o wspinaniu i filmie

Dla mnie wspinanie to nie jest ani sport, ani zawód, to coś zdecydowanie więcej. Myślę, że dla każdego wspinacza – sportowego czy górskiego – wspinanie to przed wszystkim jest inspiracja, pasja. Dla mnie liczą się naprawdę cele, które sobie wyznaczam i które muszę zdobyć we wspinaniu. To oczywiście także przyjemność, jaką mi ono daje.

Podróżowanie jest bardzo ważną częścią wspinania. To taka dyscyplina, w której sama podróż ma niezwykle znaczenie, nawet czasami większe niż aspekt sportowy.

Gdy zaczynałem się wspiąć, dużą inspiracją były dla mnie postacie wielkich wspinaczy tamtych czasów: Kurta Alberta i Wolfganga Güllicha. Jednak nie chodziło mi tylko o ich osiągnięcia sportowe, ale przede wszystkim pociągała mnie i fascynowała ich filozofia życia, sposób w jaki się wspinali, w jaki rozumieli wspinanie, wolność jaką żyli. Wydaje mi się, że to było ważniejsze niż tylko i wyłącznie ich poziom sportowy.

We wspinaniu jest wiele dziedzin, każdy musi znaleźć tę ścieżkę, którą chce podążać. Tak było w przypadku Güllicha i moim. Główna różnica pomiędzy nami polegała na tym, że ja byłem przede wszystkim wspinaczem onsajtowym, wspiąłem się po drogach, których wcześniej nie znałem. Wolfgang natomiast pracował nad jedną drogą czasami wiele tygodni, aby ją w końcu zrobić.

Rola w filmie „Krzyk Kamienia” to był wielki, bardzo ważny moment w mojej karierze, na dodatek bardzo ekscytujący. Przebywanie z takimi postaciami jak Donald Sutherland czy Werner Herzog to było wielkie doświadczenie. Byłem wtedy bardzo młodym człowiekiem i kiedy zaproponowano mi rolę w tym filmie, byłem zachwycony: – sen stał się rzeczywistością – pomyślałem. Niestety na końcu byłem sfrustrowany. Początkowy scenariusz, oparty na opowiadaniu Reinholda Messnera, dostał się bowiem w ręce producenta wszystkich filmów Herzoga. Niestety, producent znacząco przerobił skrypt. W zasadzie Sutherland oraz ja zgodziliśmy się zagrać w tym filmie po przeczytaniu oryginalnego scenariusza – to była naprawdę dobra historia.

Na samym początku kręcenia filmu zaczęły się kłopoty, ponieważ zaczęto dalej zmieniać scenariusz. Wiele scen musieliśmy kręcić wielokrotnie – dwa razy wróciliśmy po to do Patagonii. W związku z tym ten film stał się jednym wielkim chaosem – z oryginalnej wersji scenariusza zostało może 20%. Wydaje mi się, że gdyby pozostać przy początkowej wersji, to wtedy film byłby dużo lepszy.

Podczas kręcenia tego filmu odkryłem aktorstwo. Przez pewien czas nawet myślałem, czy nie rozpocząć kariery filmowej. W czasie prac dużą pomocą był dla mnie Donald Sutherland, będący doskonałym aktorem. Opiekował się mną na planie – ja przecież nie miałem pojęcia o aktorstwie. Kiedy pracowaliśmy wspólnie, prowadził mnie tak, że na koniec traciłem poczucie, że jesteśmy filmowani. Po zakończeniu sceny „budziłem się” i zdawałem sobie sprawę, że coś nakręciliśmy.*



**Wypowiedź pochodzi ze spotkania w dniu 30 marca br. w krakowskim „Klubie Pod Jaszczurami”, w ramach odbywającego się Marmot Tour Poland. Publikujemy ją za zgodą portalu www.wspinanie.pl*

Pochwała gór

Któż nie podziwia rejonów alpejskich, nie miłuje ich i z radością nie odwiedza; któż z upodobaniem nie wędruje i nie wspina się po górach? Właściwie tylko tępymi głupcami, niezdarami i leniami mógłbym nazwać tych, których nie wzrusza ich piękno. Sam odczuwam niewypowiedzianą tęsknotę i tak naturalną miłość do gór, że nigdzie nie zatrzymuję się tak chętnie, jak na górskich przełęczach i żadne podróże nie są mi tak mile, jak te górskie. Poszukujący nowego rodzaju łatwo może znaleźć w górach godną uwagi i podziwu różnorodność występujących gatunków roślin, dzikich ptaków, które tylko w górach spotkać można, cieniste doliny, łagodny szmer potoków, widoki na ciągnące się daleko pola, jeziora, rzeki, miasta i zamki, no i wreszcie zdrowe powietrze. Cała ta odmienność może uradować, ale i zadziwić niezwykajnych takiego radosnego spektaklu. Szukający starożytności znajdźcie tam pomniki czasów prastarych: przepaście, skalne ściany, przewieszone bloki, głębokie wąwozy, zdumiewające szczeliny, ukryte grotty, twardy lód w upale, i... o czymże tu jeszcze dalej mówić? Tutaj jest arena Boga, pełna świadectw czasów pradawnych i cudu zadziwiającej mądrości i siły tworzenia.

Fragment sprawozdania berneńskiego uczonego Martiego (1522–1574), badacza flory górskiej, który w roku 1557 wraz z humanistą Aretiussem wszedł na Niesen i Stockhorn.

Tłum. z jez. niemieckiego: Małgorzata Kielkowska

Zapomniane ściany, ukryte problemy

Janusz Kurczab i Artur Paszczak

Przeglądając się przez parę ostatnich lat kalendarzowi imprez PZA, zgłoszeniom zespołów pretendujących do dotacji ze strony Związku i czytając późniejsze sprawozdania, nasuwa się kilka zasadniczych spostrzeżeń:

1. Dominujące kierunki w naszej ekspansji alpejskiej to: Mont Blanc i Dolomity latem, oraz Mont Blanc zimą.

2. Latem głównie interesują nas ściany, na których zagęszczenie dróg jest takie, że (przesadzając nieco) trudno zrobić szpagat, by nie wdepnąć na sąsiednią drogę (wschodnia Grand Capucin, zachodnia Dru, północna Grandes Jorasses, południowa Marmolady, północne Tre Cime di Lavaredo).

3. W rejonach o charakterze wysokogórskim np. w Masywie Mont Blanc chętnie wybieramy się na drogi ubezpieczone i to nie zawsze podczas gorszej pogody. Czy uważamy, że akcja „Tatry bez młotka” powinna być przeniesiona w Alpy?

4. Mimo pięknych tradycji z lat sześćdziesiątych – osiemdziesiątych, w ogóle nie wspinamy się zimą w Dolomitach.

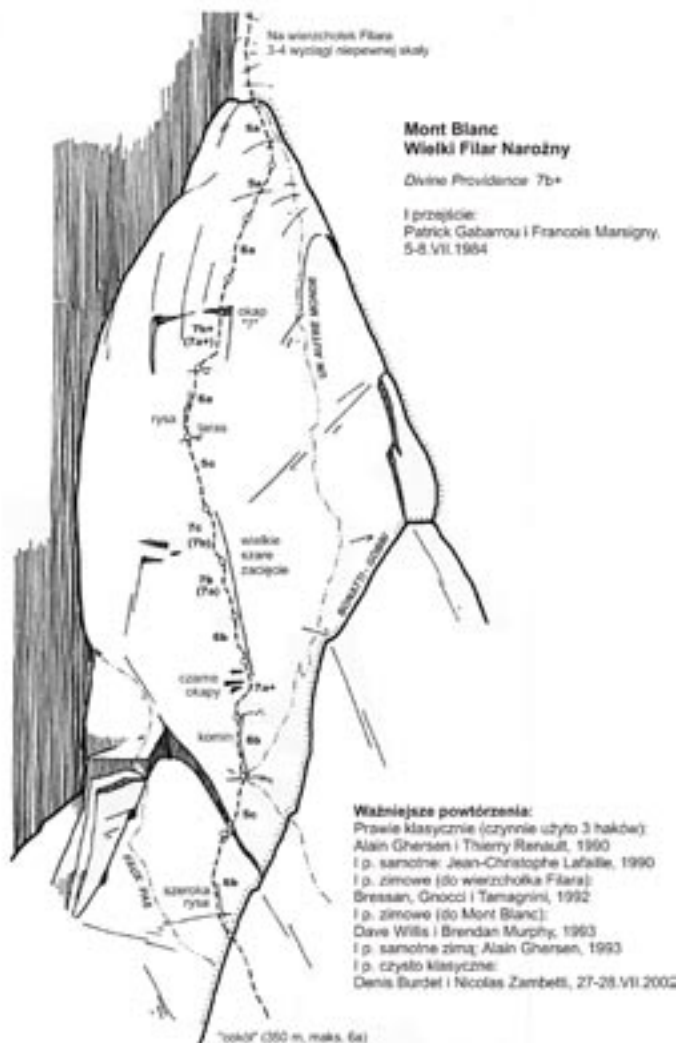
Za raczej zapomniane niż ukryte, należy uznać niektóre ściany na dobrze znanych szczytach Masywu Mont Blanc:

• Ciesząca się sławą jednej z najtrudniejszych dróg przedwojennych, *Gervasutti-Gagliardone* na wschodniej ścianie Grandes

Jorasses (z lodowca Fréboudze), wciąż nie ma jeszcze polskiego przejścia. tak samo jak inne drogi na tej ścianie za wyjątkiem grani Hirondelles: Lewy filar, *Groucho Marx* (Włosi Cristiano i Fabio Delisi, 1983) oraz *Little Big Man*, wytyczona w marcu 2006 roku przez Francuzów Philippe Batoux i Lionela Daudet;

• Podobnie jest z prawie wszystkimi drogami w 800-metrowym północnym murze Aiguille de Leschaux – Mont Greuvetta. Są one dobrze widoczne dla licznych naszych rodaków, wspinających się na popularnych, krótkich, skalnych drogach nad lodowcem Triolet, w rejonie schroniska Dalmazzi. Północna ściana Mont Greuvetta nie ma dobrej opinii, ze względu na kruchą skałę. Są na niej przynajmniej 2 drogi, jedną z nich, ocenianą na ED, poprowadził nasz rodak Andrzej Mróz w 1971 r. Północno-wschodnia ściana Aiguille de Leschaux to 300-metrowy skalny monolit ponad 500-metrową lodową partią ściany. Prowadzące nim drogi Cassina i Gogni są sklasyfikowane na ED;

• Czy wreszcie któryś z polskich zespołów spróbuje zmierzyć się z najtrudniejszą drogą na Wielkim Filarze Narożnym i całym Mont Blanc – *Divine Providence* – dziś już całkowicie klasyczną? Jedyna do tej pory, za to zimowa, próba zespołu W. Madejczyka zakończyła się pod monolitem. Zdajemy sobie sprawę, że podejście pod nią nie



jest proste, ale chyba można kiedyś „wyciąć” odpowiednie warunki i opracować właściwą taktykę? Inne linie na Wielkim Filarze także czekają na polskie przejścia bądź powtórzenia. Obie wielkie polskie drogi nie posiadają powtórzeń w ogóle, a szczególnie przejście *Faux Pas* miałoby ważne znaczenie. Od czasów zimowego przejścia żaden polski zespół nie pokonał Bonattiego, a ostatnim akcentem była droga *Cecchinell-Nominé* zimą (Arek Gąsienica-Józkowy i Piotr Konopka). Tymczasem dobre zespoły pokonują obecnie łańcuchówki łącząc Filar z drogami na Frêneyu, i to nie tylko latem, ale i zimą.

• Nieznane są przejścia nawet tak absolutnych standardów jak *Ostroga Brenvy* czy *Major* na

wschodniej ścianie Mont Blanc. Nikt nie wspina się na Mont Maudit z jego pięknym *Filarem de l'Androsace*. Na Mont Blanc du Tacul wybierane są wspinaczki krótkie lub *Filar Gervasuttiego*, a przecież są na tej ścianie wspaniałe drogi mikstowe, z *Superkuluarem* i *Quillecouloir* (z wariantem *Burton-Shaw*) na czele. Brak Polaków także na Grani Peuterey, pokonanej „integralnie” do tej pory tylko dwukrotnie.

Wspominając Filar Narożny i ścianę Brenvy, nasuwa się jeszcze jedno zagadnienie. Są jeszcze drogi, które nazywamy przygodowymi, nie dość, że wymagające zakładania własnej asekuracji, to na dodatek dość niebezpieczne. Tym niebezpieczniejsze, im bardziej na bakier jesteśmy z taktyką alpejską. Aby zdecydować się na niektóre ściany, jak wschodnia ściana Mont Blanc, czy najwyższa ściana Alp – ponad dwukilometrowej wysokości wsch. ściana Monte Rosa, trzeba być nie tyle lwem czy orłem, ale lisem... Ta ostatnia, choć niezbyt trudna, prawdopodobnie nie ma

jeszcze polskiego przejścia. Wiadomo tylko o jednej zimowej próbie (Dutkiewicz-Paszczak). Sławnym *Kuluarem Marinelli* mógłby wprowadzić, uciekając przed lawinami, zjechać dobry snowboardzista, ale obok mamy liczne żebra, a lewa część ściany, kulminująca w Punta Gnifetti, to już poważne mikstowe urwisko. Droga *Devies-Lagarde* z całą pewnością nie widziała jeszcze polskich alpinistów, a jest jeszcze parę innych. Piękną ścianą ma Nordend, a dwie biegnące nią super-drogi to *Direttissima* przez *Calun* i *Via Brioschi*, obie po 2300 m wysokości.

A co w Dolomitach? Wymieńmy kilka zapomnianych, ciekawych, a także sławnych dróg, ścian i rejonów:



Przebieg dróg na wschodniej ścianie Monte Rosa – szkic z włoskiego przewodnika „Monte Rosa” z 1960 r.
1. Punta Gnifetti; 5. Dufourspitze; 7. Nordend.

- Północna ściana Furchetty (750 m wysokości) w grupie Odele. Droga *Solleder-Wiessner*, szczególnie z wariantem prostującym Vinatzera, jest godna najlepszych współczesnych wspinaczy;

- Już dawno nie było słyhać o polskich przejściach dróg w grupie Civetty (np. parę dróg na ścianie głównego wierzchołka, *Aste-Susatti* na Punta Civetta i wiele innych.

- Chyba jeszcze nikt z Polaków nie wspinał się na Monte Pelmo. Jego 900-metrową północną ścianą prowadzi kilka pięknych dróg, w tym wielki „klasyk”, jedna z pierwszych „szóstek” alpejskich, droga *Simon-Rossi* z 1924 roku.

- W pobliskiej grupie Bosconero możemy się pochwalić nawet wybitną nową drogą na najciekawszej ścianie – 600-metrowej północnej ścianie Rocchetta Alta (Andrzej Mirga i Krzysztof Żurek w 1977 r.). Wydaje się jednak, że przez niemal 30 lat tego rejonu nie odwiedzili polscy wspinacze.

- Kto jeździł na nartach w popularnym rejonie Val Gardena, z pewnością zwrócił uwagę na potężne, ale mało popularne wśród Polaków ściany grupy Sassolungo. Znajdziemy tam długie i trudne drogi klasyczne, od wielkich przedwojennych „klasyków” po drogi modernistyczne.

- Południowo-zachodnia ściana Cima Scotoni liczy 700 m. Droga *Wiewiórek* z 1952 r. (L. Ghedina, L. Lacedelli i G. Lorenzi) miała sławę jednej z najtrudniejszych klasycznych dróg w Dolomitach. Wypowiedzi Messnera po jej powtórzeniu w 1969 r., tę sławę jeszcze bardziej ugruntowały. Sąsiednia droga *Ivano Dibona*, również poprowadzona przez Scoiattoli di Cortina, ma polskie przejście „prawie zimowe” (Kurczab-Mróz, 21-24.03.1969), dokonane w 2 tygodnie po I przejściu. Natomiast na znacznie sławniejszej drodze z 1952 r. nie było jeszcze polskich wspinaczy. Jest to tym dziwniejsze, że dostęp do ściany jest najłatwiejszy z możliwych: krótkie zejście ze schroniska przy górnej stacji kolejki linowej Passo Falzarego – Piccolo Lagazuoi.

- Warto przypomnieć naszym wspinaczom o sąsiadującej od wschodu z Tre Cime di Lavaredo grupie Sesto. Wspomnijmy choćby północną ścianę Cima Una, na której znajdziemy kilka długich ekstremalnych dróg, a wielkim „klasykiem” jest droga *Steger-Wiesinger*.

- Niezwykle rzadko odwiedzana jest arcyciekawa grupa Brenty, obfitująca w wielkie drogi, prowadzące w pewnej skale.

Przykłady można mnożyć. Wybór ciekawych rejonów wspinaczkowych w Dolomitach jest przebogaty. Może nie wszędzie na wymienionych ścianach znajdziemy komplet haków czy spitów, toteż w przeci-



Północno-zachodnia ściana Civetty.

Fot. J. Kurczab



Cima Una w grupie Sesto. Widoczny profil północnej ściany. Z tyłu masyw Tre Cime di Lavaredo.

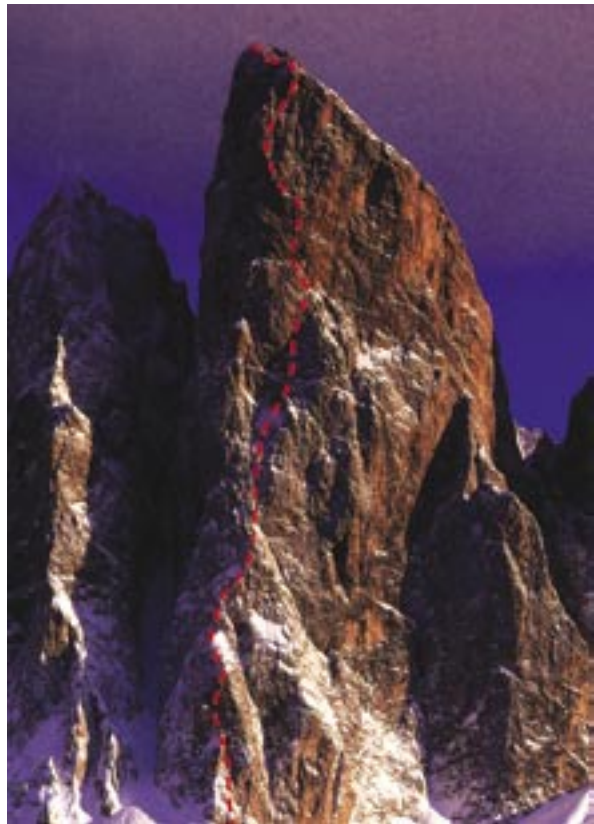
wieństwie do wyżej wspomnianych mikstowych „horrorów”, tu raczej przydałyby się zalety orla czy lwa.

Nie widać naszych wspinaczy nawet w rejonach, gdzie można znaleźć wiele spośród najwybitniejszych skalnych dróg Alp Wschodnich: Karwendel (sławne drogi na Lalidererwand i Lalidererspitze), Rätikon (m.in. ekstremy Beata Kammerlandera), Wetterstein (południowa ściana Schüsselkarspitze, klasyczna *Fiechtl-Herzog* i modernistyczne nawet do 9+) czy Wilder Kaiser (Fleischbank i Totenkirchl). A sławna Alpejska Trylogia? Może niedawna wizyta Stefana Glowacza w Polsce zmobilizuje naszych najlepszych wspinaczy skalnych do jej powtórzenia?

Już od dawna nie powstała żadna poważniejsza nowa polska droga w Alpach. I nie powstanie, jeśli będziemy poruszać się po utartych szlakach, wspinając się tylko w najpopularniejszych rejonach. Tam nie łatwo znaleźć połać ściany dla „upchnięcia” nowej drogi, tak aby była względnie logiczna. Z kolei w mało znanych zakątkach Alp zbyt słabo jesteśmy zorientowani w terenie. Pierwszy wyjazd w taki rejon należałoby potraktować jako rekonesans, w czasie którego można oczywiście spróbować najciekawszych „klasyków” rejonu.

Kuba Radziejowski pisze niżej o słabutkim sezonie zimowym w Alpach i zastanawia się nad przyczyną porażek. Jedną z nich da się określić bardzo łatwo – brak

pogody i warunków. Chciałbym jednak zauważyć, że wszystkie polskie zespoły (nie biorąc pod uwagę wspinających się po lodospadach), działały w Alpach Zachodnich. Tymczasem zupełnie inaczej mogło być po wschodniej stronie łuku alpejskiego. O tym, że przynajmniej pogoda była lepsza, mogę (JK) stwierdzić z własnego doświadczenia. Będąc w Livigno, miałem z okolicznych wzniesień widok na Alpy od Berniny po Dolomity. W okresie 11 – 20 marca panowała zupełna „lampa”! O innej, moim zdaniem, permanentnej przyczynie braku wyników zimą w Alpach, wspominałem już w „A0” nr 1/2005. Jest nią brak czasu i cierpliwości...



Północna ściana Furchetty. Linia pokazuje przebieg drogi Solleder-Wiessner z wariatem Vinatzer. Fot. M. Bianchi

Porażka goni porażkę, czyli alpejski sezon Polaków - zima 2006

Jakub Radziejowski

Niestety także i w tym podsumowaniu nie da się napisać nic o sukcesach na żadnej z poważnych ścian alpejskich. Wygląda na to, że od czasu, kiedy to swoją aktywność zimową zawiesił „Dream Team” nie ma o czym pisać. Tzn. jest, ale pisanie w nieskończoność o tym, że ten czy tamten zespół wycofał się z tej czy tamtej drogi ze względu na warunki, pogodę etc. do przyjemnych nie należy. Ani dla autora, ani dla czytających.

Tej zimy niewątpliwie było złe. Można się tylko zastanowić czy ewentualny brak wyników kilku zespołów działających tej zimy w Alpach, wynika naprawdę wyłącznie z tradycyjnego polskiego pecha czy też u podłoża leży coś głębszego. Jedno jest pewne – praktycznie wszystkie zespoły tej zimy wyjechały w Alpy na ostatnią dekadę kalendarzowej zimy i okazało się to czynnikiem absolutnie kluczowym dla mizernych efektów, jakie te wyjazdy przyniosły.

Jednym z dwóch zespołów, które wyjechały w Alpy wcześniej, był zespół Michał Król i Marek Żołądek który odwiedził austriacką dolinę Gastein, gdzie w planach było pokonanie kilku trudnych dróg lodowo mikstowych. Na rozgrzewkę, zespół ten, w towarzystwie Przemysława Cholewy, przeszedł drogę *Ruinenorgel* (WI5+, 100m). Niestety później okazało się że główne cele zakopiańczyków (m.in. *Rock'n Roll* M8+, WI5; *Wet Dreams* WI6; *Rain Man* M6+, WI5) paść nie mogły ze względu na warunki (załodzone spity, lub brak... drogi). Tak więc sytuacja minimalnej ilości lodu, z którą zetknęły się odwiedzające Alpy w późniejszym terminie polskie zespoły, dotyczyła nie tylko okresu późno zimowego... Na pocieszenie Michał i Marek w 5 godz. zrobili jeszcze 300 m klasyk lodowy rejonu – drogę *Mordor* (WI5).

Drugi zespół, który pod koniec lutego działał w Austrii, to Mariusz Nowak i Alfred Sosgórnik. Wybrali się oni do doliny Maltatal w Wysokich Taurach. W efekcie kilkudniowej działalności przeszli 6 lodowych dróg o długości od 20 do 400 metrów, z których najpoważniejszą jest *Superfucht* (E3 WI5, 140 m). Oprócz tego padły też dwie drogi o wycenie WI 4+ (*Wintasun*, *Gamseck*). W opinii uczestników wyjazdu wyceny zdają się być rzetelne, a sama dolina oferuje ogromne możliwości do realizacji ambitnych planów związanych ze wspinalką lodową.

W Alpach Szwajcarskich planowały swoją działalność 3 krajowe zespoły. Północna ściana Matterhornu była celem Wojciecha Ryczera i Krzysztofa Sadleja. Tuż po samym przyjeździe okazało się, że ściana pod względem warunków lodowych pozostawiała wiele do życzenia. Zespół postanowił zaaklimatyzować się na grani Hörnli, wchodząc nią na szczyt w około 8 godz., po czym – po dniu odpoczynku i 10 cm opadzie śniegu – postanowił wbić się w ścianę drogą Schmidów. Błyskawicznie okazało się, że lodu nie ma, a te resztki, które pozostały, nie zapewniają możliwości asekuracji. Po zrobieniu około 350 m w czasie około 10 godz. (teoretycznie łatwy teren, który w tzw. „normalnych” warunkach idzie się z lotną asekuracją), zespół zaczął wycofywać się do grani w lewo. Na około 2 wyciągi przed schroniskiem Solvay'a nastąpił wypadek. Wojtek Ryczer odpadł



Maciej Ciesielski na stanowisku zjazdowym na drodze *Madness Trés Mince* w murze Pré de Bar.

Fot. J.Radziejowski.

z resztką lodu, na którym stał i zaliczył ponad 40 m lot. Nie obeszło się bez akcji ratunkowej z użyciem śmigłowca, a noc Wojtek spędził już w szpitalu. Całe szczęście pechowcowi nic poważnego się nie stało.

W tym samym czasie, w Grindelwaldzie przebywały dwa zespoły. Pierwszy – Maciej Ciesielski i Jakub Radziejowski planował przejście drogi klasycznej z roku 1938 na północnej ścianie Eigeru. Po aklimatyzacji zespół wbił się w ścianę, gdzie okazało się, że warunki panujące w ścianie podobne są do tych na Matterhornie, a miejsca, gdzie normalnie występują półka lodowe i firn, pokryte są sypkim śniegiem (tzw. „cukrem”) leżącym na gołej skale. W efekcie zespołowi pokonanie 100 metrowego odcinka, który w normalnych warunkach przechodzi się bez asekuracji w kilkanaście minut „podpierając się czekaniem”, zajęło blisko 2 godziny. Pod następnym takim progiem, kiedy okazało się, że warunki są dalej takie same, zespół zdecydował się na zjazd i na powrót w przyszłości, kiedy lodu będzie trochę więcej. W poszukiwaniu szczęścia członkowie zespołu udali się do Chamonix.

Drugi zespół „grindelwaldzki”, Maciej Sokołowski i Michał Włodarczak planował przejście pn.-wsch. filara Eigeru, jednakże z tych samych powodów zrezygnował z pierwotnego celu i w zamian dokonał szybkiego zimowego wejścia (w 2,5 godz.) pld.-zach. grzędą na Möncha.

Okazało się, że w Chamonix nie jest lepiej. Po szybkiej weryfikacji warunków, zespół Ciesielski-Radziejowski udał się do doliny Argentière, gdzie w trakcie załamania pogody przeszedł w 6 godz. drogę *Madness Trés Mince* (W15, 500m) w murze Pré de Bar. Droga ta to wymagający klasyk rejonu. Jedną z zalet kilku dróg w całym masywie, będących w tym roku w jako takich warunkach. Dzień później w podobnie trudnych warunkach drogę w 8 godz. przeszedł zespół Błażej Ceranka i Marcin Rutkowski. Obydwu zespołom zjazdy zajęły około 2 godz.

Wcześniej Marcin Rutkowski, wraz z Andrzejem Sokołowskim próbowali wspinać się na Mont Blanc du Tacul. Także i tutaj zakładane cele: *Pinocchio* (M6+), *Scotch on the Rocks* (M8), po prostu nie istniały. W zamian za to zespół próbował swych sił na *Superkularze* jednak „pośpiech zaowocował brakiem pełnej informacji o drodze, której początek, jak się okazało już po fakcie, uległ zmianie w ostatnich latach. Po skalnym obrywie, który zmienił hakowy start, pierwszy wyciąg jest podobno zaporęczowany na stałe (!!!), a lina ukryta za załomem skalnym, o czym dowiedzieliśmy się od przewodnika już po powrocie do Chamonix. Nam niestety nie udało się jej odnaleźć, a obrany wariant hakowy

okazał się po prostu za trudny – niechodzone gładkie płyty, zamiast *lots in situ*, których spodziewaliśmy się na chodzonym A1...” (za sprawozdaniem zespołu – przyp. aut.)

Mniej więcej w tym samym czasie w Chamonix działał młody zespół Łukasz Depta, Wojciech Kozub i Jan Kuczera. Ambitnym celem stało się drugie polskie zimowe przejście Filara Walkera na północnej ścianie Grandes Jorasses. Warunki do przejścia tej wybitnie skalnej drogi zdawały się być idealne – minimalna ilość śnieg i brak lodu sprawiły, że wspinacze wchodzą w ścianę w dobrych humorach. Po względnie szybkim przejściu dolnej, łatwej części ściany pod koniec dnia, po 20 godz. akcji, zespół gubi drogę i po mroźnym biwaku na małej platformie śnieżnej, następnego dnia bezskutecznie próbuje ją odnaleźć. Zapada decyzja o zjazdach, lepszym przyjrzeniu się ścianie i powrocie po kilku dniach. Niestety okazuje się, że członkowie zespołu podczas wspinaczki nabawili się kontuzji i odmrożeń. Nadchodzące załamanie pogody sprzyja tylko podjęciu decyzji o powrocie do kraju...

W Chamonix działały też dwa inne zespoły. Pierwszy, Piotr Amsterdamski i Paweł Józefowicz, ze względu na nie najlepszą pogodę, ograniczył się do wspinaczek na kilkudziesięciometrowych lodospadach progu lodowca Argentière. Drugi zespół, Jacek Waclawczyk i Wojciech Wiwatowski, wspinał się na Triangle du Tacul oraz na drodze *Petit Viking* na Pré de Bar.

W mniej więcej tym samym czasie w Norwegii przebywał zespół Michał Król i Marcin Tomaszewski. Celem zespołu było wytyczenie nowej drogi na dziewiczych lodospadach w dolinie Romsdal. Pierwszego pięknego dnia, udaje im się wypatrzeć fantastyczną linię lodowo-mikstową przypominającą z wyglądu nasz *Superściek* (tylko tak ze 4 razy wyższy). Niestety w nocy przychodzi wiosna – gwałtowne ocieplenie i opad deszczu sprawiają, że droga niknie w oczach, a częste obrywy z lodowej kurtyny powodują, że już na po pierwszym wyciągu (ok. W16) zespół decyduje się nie ryzykować. Niestety, podobne warunki panowały już do końca wyjazdu, podczas którego w ciągu kilku kolejnych dni zespół przechodzi kilka bezpiecznie usytuowanych lodospadów o trudnościach W16, prawdopodobnie wcześniej nie pokonanych. Dalsze ocieplenie i pogorszenie pogody sprawia, że działalność wspinaczkowa traci sens.

Jak można podsumować „polską” zimę w Europie? Może lepiej jej nie podsumowywać, bo jak było – każdy widzi. Należałoby się raczej zastanowić, co zrobić, by w przyszłości było o czym napisać bez mantryczenia i narzekania na warunki. Szczególnie w sytuacji, gdy w Europie tej zimy jednak się wspinano, robiąc przy tym bardzo ciekawe przejścia...

Zimowy sezon w Tatrach

(do 4 kwietnia 2006)

Maciej Ciesielski

Poniższe podsumowanie powstało dzięki pomocy firm Hannah, Montano, Vasque, Roberts oraz sieci sklepów Polar Sport.

Tatry Wysokie - Morskie Oko

W przeciwieństwie do zeszłorocznego sezonu, kiedy to najlepsze wspinaczkowe warunki panowały jeszcze przed rozpoczęciem się kalendarzowej zimy, w tym roku pierwsze tygodnie grudnia były co najmniej kiepskie. Jedynym ciekawszym przejściem z tego okresu są *Warianty słoweńskie*, czyli mająca miejsce na Wielkiej Mnichowej Babie, wspinaczka **Marko Prezelj'a** w towarzystwie asekurujących go **Jakuba Radziejowskiego** i **Macieja Ciesielskiego**. Jest to pierwsza droga w Tatrach o trudnościach szkockiej ósemki. Została poprowadzona od dołu i w stylu OS. Prawdopodobnie jest to najtrudniejsza tego typu droga w Tatrach.

Tuż przed Sylwestrem, zespół **Adam Pieprzycki, Robert Rokowski i Marcin Szczotka**, w bardzo złych warunkach pokonał *Szare zacięcie* na Czołówce MSW. Zdaniem Marcina w lepszych warunkach droga może „paść” zimą klasycznie. Tak samo uważa **Krzysztof Sadlej**, który wraz z **Pawłem Józefowiczem** przeszedł tą drogę 8 stycznia w stylu AO.

Generalnie, co bardzo cieszy, w dziedzinie odhaczeń dzieje się dużo. Chęć poprawiania stylu, a nie tylko czasu, zagościła już chyba u nas na dobre.

Przykładem tego jest droga *Psia Krewka* na Czołówce MSW, w stylu 1xAF, przeszedł ją zespół **Piotr Sztaba, Marcin Księżak i Paweł Kopta**. Ten ostatni, pytany o trudności drogi, porównałby je do zakrówkowego 7. Z innych ciekawszych wspinaczek na Czołówce MSW należy jeszcze wymienić kilka przejść *Starka-Uchmańskiego* 6, A1, oraz rzadko powtarzaną drogę, jaką jest *Prawy komin* 5+. Drogę tę, na początku marca, powtórzył zespół **Alfred Sosgórnik i Mariusz Nowak**. Zdaniem autorów przejścia oferuje ona bardzo ładne i dość wymagające wspinanie w pionowych trawach. W pierwszych dniach kwietnia, niestety w słabych warunkach (ciepło, a przez to krucho) tę samą drogę przeszedł zespół **Robert Rokowski i Adam Pieprzycki**.

Przenieśmy się na Kocioł Kazałnicy, drogę *Cień Wielkiej Góry* przeszły zespoły **Alfred Sosgórnik i**

Mariusz Nowak, a także **Krzysztof Skoczylas i Robert Kaźmierski**. Ci ostatni są także autorami przypadkowej, powstałej w wyniku „zgubienia” drogi, kombinacji. Mianowicie, rozpoczęli swą wspinaczkę drogą *Hobrzańskiego*, później, weszli w *Paradę Jedynek*, by wyjść ze ściany drogą *Długosz-Popko*. Na Kotle działał także **Hubert Morawski z Tomaszem Olszewskim**, przechodząc trzy pierwsze wyciągi *Sprężyny*. Ten pokonany klasycznie fragment wycenili na słabe 7. Teraz do zimowego ukłasyzczenia pozostaje najtrudniejszy chyba zimą fragment – górne zacięcie.

Również na ścianie Kazałnicy starano się wspiąć klasycznie. 17 stycznia, za sprawą **Jakuba Radziejowskiego i Macieja Ciesielskiego**, powstała tam nowa kombinacja klasyczna (w rozumieniu klasyki zimowej) *Warianty zimowe*. Początek drogi to *Direttissima*, którą klasycznie podeszliśmy pod okap „Motyl”, gdzie skręciliśmy w „Ściankę problemową” na drodze *Łapiński-Paszucha*. Do „Nży ze świeczką” wpinaliśmy się ok. 9-10 godz. (trudności ok. 7+, OS, ale duże nagromadzenie, asekuracja miejscami W/R); następne 3 wyciągi z „Nży” przez „Górny Komin” i wyjście ze ściany zajęły nam kolejne 10 godz., niestety „azerując” (kiepskie warunki – zwłaszcza w „Górnym Kominie”, noc, załamanie pogody i potworne zmęczenie, spowodowane klasycznym przejściem ściany). Od siebie mogę dodać, że jak dotąd, jeszcze żadna wspinaczka w Tatrach nie kosztowała mnie tyle wysiłku.

Tego samego dnia, na „Zerwie” wspiął się również zespół **Jan Kuczer a - Marcin Księżak**, który w czasie 19-20 godz. przeszedł chyba najładniejszą tamtejszą linię, a mianowicie *Filar z Ostrogą*. Trzeciego, tegorocznego przejścia naszej najhonorniejszej ściany, dokonał zespół **Krzysztof Sadlej (HiMountain) i Michał Kaspróicz**. Na początku marca, w ciągu dwóch dni pokonali oni drogę *Długosza* 6, A1.

We wspinacze solowej w okolicach „Moka” najskuteczniej realizował się najaktywniejszy „zimowiec” zeszłego roku, **Marcin Księżak**. Przeszedł on drogę *Stanisławskiego* na Mnichu, otwierając w dolnej części nowy, dwu-wyciągowy wariant. Tą samą kombinację powtórzył zespół **Adam Pieprzycki i Łukasz Miedzak**.

Tatry Wysokie – Hala Gąsienicowa i okolice.

Z ciekawszych przejść należy wymienić *Prawego Dorawskiego* 5 na Świnicy, którego w pierwszych dniach kalendarzowej wiosny pokonał zespół **Miłosz Jodłowski, Przemysław Wójcik i Przemysław Kłosek**. Miesiąc wcześniej, na Kozim Wierchu działał zespół **Wojciech Kozub i Łukasz Depta**. Przeszli oni *Filar Leporowskiego*. Całość klasycznie (trudności około 5+) w stylu OS w czasie 6,5 godziny. Na sam koniec zostawiłem sobie prawdziwą „perelkę”, jaką jest informacja o przejściu, znanego wszystkim, niestety, większości tak jak i mnie, tylko z rewelacyjnego opowiadania Jana Długosza, *Komina Pokutników*. Drogę tę znajdującą się na Buczynowej Strażnicy nad Buczynową Dolinką pokonał zespół **Bogusław Kowalski** (Marmot Team) i **Marcin Michałek**. Udało im się ją pokonać, mimo niesprzyjających warunków lodowych, w całości klasycznie, a trudności Marcin porównał do 6 – owych trudności *Komina Malczyka*. Cała akcja zajęła zespołowi 15,5 godzin, licząc od drzwi do drzwi Betlejemki, sama wspinaczka natomiast trwała 8 godzin.

Tatry Wysokie - Słowacja

Słowacja jest ostatnio bardzo rzadko odwiedzana zimą przez wspinaczy z Polski, dotarło do nas tylko kilka informacji o ciekawych przejściach. I tak, w Dolinie Kieżmarskiej, na ścianie Małego Kieżmarskiego, zespół **Jan Kuczera i Tomasz Polko**, w czasie 14-15 godz. powtórzył drogę *Boček-Šadek* 6, A0. Chłopcy wspinali się na ciężko, z sprzętem biwakowym, gdyż chcieli wspiąć się do szczytu, niestety załamanie pogody pokrzyżowało ten ambitny plan.

W Dolinie Kieżmarskiej odbywał się także w tym roku obóz KW Warszawa, podczas którego padło kilka bardzo ciekawych dróg. Te najciekawsze, to przejście drogi *Hrana Weberovki* 5+ (oryginalnie, bez zjeżdżania do kotła), przez **Alicję i Artura Paszczaków** w czasie 6,5 godz., oraz przez zespół **Paweł Karczmarczyk-Grzegorz Sokołowski, Alicja i Artur** przeszli także w czasie 6 godz. drogę *Paleniček-Svec* 5+, na Złotej Kazalnicy. Drogę tę przeszedł też zespół **Paweł Karczmarczyk-Jacek Kierzkowski**. Najpoważniejszym przejściem jest wspinaczka na Małej Złotej Kazalnicy, gdzie drogą *Ruska Ruleta* 6, A3 (2+) wspiął zespół **Artur Paszczak i Zbigniew Skierski**. Niestety, słabe warunki – suche trawy i masa śniegu – uniemożliwiły klasyczne przejście drogi i pokonano ją za 6, A3(2+)

Jak donosi Artur, wśród Słowaków dalej modne jest zaniżanie wycen dróg i przelicznik wygląda mniej więcej tak – słowackie M4 równa się naszemu zimowemu 6.

Najciekawszym przejściem z Doliny Wielickiej jest natomiast wspinaczka **Adama Potoczka**, który wspólnie z **Barbarą Szybowską**, 28 stycznia przeszedł lodospad *Sopel* W15. Adam, mający duże doświadczenie we wspinaczce lodowej, wycenił trudności drogi na W16-Przyczyną podniesienia wyceny była bardzo mała ilość lodu (w tym roku w całych Tatrach panowały fatalne warunki lodowe, przykładowo na *Super Ścieku*, polewa lodowa nie dochodziła nawet do okapu „Portal”).

Pozostając przy wspinaczce lodowej i przy Słowacji, należy donieść o drugim polskim przejściu drogi *Utok na špicu hitparády* M7+ w Dolinie Białej Wody. Autorami tego powtórzenia są **Przemysław Cholewa i Przemysław Wójcik**. Na drodze tej podczas próby kolejnego powtórzenia doszło do bardzo niebezpiecznego wypadku. Mianowicie pod prowadzącym **Pawłem Ziolo** (TriPoint), który pokonał w stylu flash(!) skalne trudności drogi, urwał się pionowy sopel, kończący wyciąg lodowy. Na szczęście cała przygoda zakończyła się szczęśliwie i Paweł nie odniósł większych obrażeń.

Daleki zachód

Na „Śpiącym Rycerzu” frekwencja była jak co roku dość duża. Z ciekawszych standardów należy wymienić *Directissime* (6+), której przejść w tym sezonie było co najmniej kilkanaście. Popularnością cieszyły się też drogi *Juhaski filar* 4, *Zacięcie Kozy* (6-) oraz *Grass Opera* 5+. Pozostając przy tej ostatniej, należy wspomnieć o przejściu **Tadeusza Grzegorzewskiego** (Montano) i **Pawła Jachymiaka**, którzy, weszli w ścianę około 20 metrów niżej, w narzucający się, szary wymyty komin. Wariant ten ma zdaniem autorów około 6+/7-, zaproponowana dla niego nazwa to *Pseudo Opera*. Wariant był na pewno wcześniej chodzony. Wydaje się, że znalazło się w końcu wyjaśnienie, dlaczego istniała taka duża rozbieżność w wycenie pierwszego wyciągu tej drogi.

17 stycznia **Przemysław Cholewa, Michał Król (Vasque Team) i Marek Żołądek** przeszli Ostatnie tango. Zaproponowali oni powrót do pierwotnych trudności – maksymalnie 6+. Kilka dni później, drogę tę, w stylu OS i w czasie 6,5 godz. przeszedł zespół **Bartłomiej Stoch i Rafał Mikler**. Proponują oni obniżyć wycenę drogi nawet do stopnia 6.

Bardzo dużo działało się na „Ważnej Turni”, a zwłaszcza w jej lewej części. Najpierw w pierwszych dniach stycznia, przy złych warunkach w ścianie (dużo śniegu) zespół **Łukasz Depta i Andrzej Głuszek** w 10 godz., OS, pokonał czysto klasycznie *Prawe Warianty* (trudności 5 – raczej z tych wymagających). Natomiast zespół **Artur Paszczak -**



Na *Wariantach zimowych* na Kazalnicy

Maciej Ciesielski pokonał chyba najbardziej ewidentną linię na tej ścianie, jaką jest droga *Lewy Mróz*. W górnej części ściany wspinali się wariantem prostującym *Skierski-Bender*. Było to drugie przejście tego wariantu, pierwsze klasyczne – trudności około 6+/7-. Styl OS, 7,5 godz. Droga ta była tej zimy jedną z najpopularniejszych na tej ścianie. Wariantem *Skierski-Bender* w czasie 7 godz. i w stylu OS, pokonał ją zespół **Jarosław Mazur i Jakub Radziejowski**. Natomiast *Lewego Mroza* – oryginalnie przeszli w tym sezonie dwa zespoły. Pierwszy z nich, **Piotr Soczyński i Dawid Stabrawa**, na drugim wyciągu otworzył własny wariant, czas ich przejścia to 7,5 godz., styl OS. Kolejne przejście należy do zespołu **Wojciech Kozub i Piotr Sztaba**, którzy to pokonali tę drogę w pierwszych dniach lutego w czasie 8,5 godziny, także w stylu OS.

Przenieśmy się teraz w środkową część omawianej ściany, przez którą biegnie, kolejna narzucająca się linia – *Komin Malczyka*. Drogę tę pokonał najpierw, młody zakopiański zespół **Rafał Mikler - Bartłomiej Stoch-Michnia**. Czas ich przejścia jest najszybszym dotychczasowych i wynosi 6 godz., OS. W tym samym stylu, w czasie niecałych 7 godzin, pod koniec stycznia, drogę pokonał **Piotr Soczyński z Wojciechem Kozubem**. Oba zespoły przychylają się do obniżenia wyceny pierwszego kluczowego wyciągu. Mamy więc kolejny wzorec zimowego stopnia 6.

Jeszcze bardziej na prawo „Ważnej Turni” działał zespół **Marcin Michałek i Paweł Kopta**. Przeszli oni najdłuższą drogę w tym masywie, mianowicie *Północny Filar - oryginalnie* 5. Na pokonanie drogi



Fot. Jakub Radziejowski

w stylu OS potrzebowali 7h.

W kategorii „pierwsze zimowe przejście” najciekawszą propozycją, jest wspinaczka zespołu **Jan Kuczera i Wojciech Kozub**, którzy przeszli (i to od razu klasycznie), drogę *Ukosem przez ścianę Filara Wolfa*. Wspinaczka w stylu OS zajęła im 5,5 godz. Na drodze znajdziemy dobrą asekurację i trudności większe od tych na *Kominie Malczyka*.

Aby przejść do kategorii „najciekawsze” odhaczenie (w rozumieniu klasyki zimowej), musimy przenieść się na sąsiednią ścianę „Bezpośredniej Turni”. Działał tam zespół **Jan Muskat - Artur Paszczak**. Za ich sprawą droga *Dzik-Pronobis* zmieniła swoją dotychczasową wycenę z 5+, A1 na 7-. Przejście tego zespołu odbyło się w stylu OS i jest najszybszym przejściem tej drogi – trwało 6,5 godz.

Droga bardzo szybko zyskała drugie klasyczne przejście w wykonaniu zespołu **Tadeusz Grzegorzewski** (Montano), **Paweł Jachymiak i Michał Król** (Vasque Team). Wspinaczka zajęła im około 7,5 godz., a autorzy tego powtórzenia donoszą, że wycena 7- jest raczej z tych mocniejszych. Przy okazji przejścia tej drogi, zespół przeszedł w dolnej części drogi *Wariant Muskata* wyceniany na 6-, jest to prawdopodobnie pierwsze powtórzenie.

Z ciekawszych przejść w innych rejonach, należy wspomnieć o powtórzeniu zeszlorskich nowości na Świeczniku. Działał tam **Dariusz Melaniuk**, który wraz z **Piotrem Pietrakiem** powtórzył drogę *Kokot* 5+/6. Darek także, w towarzystwie **Marcina Cholewy** dokonał w stylu OS, pierwszego powtórzenia odhaczonej zeszej zimy drogi *Prawy Komin Zająca*. Prowadzący obniżył wycenę do maksymalnie 7, ale jak sam donosi – „tylko propozycja, bo on na wycenach się nie zna...” Natomiast **Piotr Pietrzak**, na tej samej ścianie, w towarzystwie **Marcina Poznańskiego** wytyczył częściowo nową drogę *Kombinacja zachodnia* o trudnościach 6+.

Z innych ciekawszych wspinaczek należy wymienić trzykrotne przejście, w bardzo krótkim czasie drogi

Male jest piękne, wszystkie te przejścia odbyły się w stylu OS. Najpierw drogę pokonał zespół **Michał Król** (Vasque Team) i **Przemysław Wójcik**, następnie **Jakub Radziejowski** i **Maciej Ciesielski** (całość prowadził Kuba), ostatnim zespołem był **Tadeusz Grzegorzewski** (Montano) z **Pawłem Jachymakiem**. Chciałbym podzielić się kilkoma, naszymi spostrzeżeniami. Droga ta była jedną z pierwszych trudnych dróg pokonanych klasycznie zimą. Jej wycena oscylowała w granicach 7-7+ (ja osobiście, po jej przejściu z **Piotrem Panufnikiem** w 2003 roku, uważałem ją za moją najtrudniejszą drogę pokonaną w tym stylu i wyceniałem na 7+). Jakże więc było moje zdziwienie, gdy teraz wszyscy wyceniliśmy, zarówno drugi jak i trzeci wyciąg na (co prawda mocne), ale tylko 6+? Poruszana tu sprawa przeceny drogi dotyczy także dróg *Ostatnie tango*, *Prawy Zając* i *Komin Malczyka*. Przyczyn tego jest kilka. Poza kwestią innych – lepszych warunków lub ułatwienia się drogi na skutek kolejnych przejść, wydaje nam się, że największą rolę odgrywa fakt, iż teraz, gdy nie używamy „smyczek”, mamy większą swobodę w zamianie rąk na dziabce, w zakładaniu asekuracji, łatwiej jest odpoczywać i mniej marzną ręce („smyczka” zawsze, choćby w małym stopniu, tamowała krążenie krwi). Większość z nas używa monopointy, a to też nie jest bez znaczenia... Drugą ważną sprawą, być może najważniejszą, jest to, co dzieje się w „głowie”. A w głowie nastąpił przełom w myśleniu o klasyce zimowej, o tym, co jest możliwe do przejścia klasycznie.

Jesteśmy pełni szacunku dla autorów (**Muskat**, **Skierski**, **Zając**) odhaczeń poszczególnych dróg i wyciągów, a zwłaszcza dla **Marka Kaziora**, autora pierwszego OS na *Małym jest piękne* – drodze tak ważnej dla rozwoju naszego klasyczno-zimowego wspinania (te przejścia, pomimo propozycji obniżenia wycen dróg, były naprawdę imponujące!). Apelujemy więc o dwie sprawy – pamiętajmy, w dziedzinie, jaką jest klasyka zimowa, w ciągu kilku ostatnich lat nastąpił ogromny postęp, tak więc 7+ sprzed kilku lat, przy dzisiejszym sprzecz i podejściu do tematu (trening, skalki) może przedstawiać trudności 6+. Ale te trudności 6+ z powodu lepszych lub gorszych warunków mogą być przez nas odebrane czasami jako 6, czasami jako 7-. Najlepiej po prostu nabrać dystansu do wycen, a w doborze drogi kierować się jej pięknem.

Solo

Na „żywca”, czyli bez asekuracji. Nie pochwalam tego rodzaju wspinania, ale chylę czoła przed psychą i umiejętnościami **Rafała Miklera**, który w tym najczystszy styl pokonał drogę *No brewka* 4+/5- na „Śpiącym Rycerzu”. Również mocną psychą wykazał się **Robert Burak** (4th League, Montano), który pokonał drogę

Bidzińskiego V-, w okolicach „Bezpośredniej Turni”. Robert wspinał się też z liną. Za jego sprawą pierwsze solowe przejście w czasie 9 godz. i w stylu RP (pierwszy wyciąg) doczekał się wspomniany wyżej **Komin Malczyka**. Pod koniec zimy Robert wybrał się na „Śpiącego Rycerza” Za swój cel wybrał *Bez ale* 5+, nie powtórzoną przez 16 lat drogę **Jacka Jani** i **Jana Muskata**. Trudności drogi zostały pokonane przez Roberta na dwa razy AO, natomiast górę przeszedł jak puszczalo, maksymalne trudności do stopnia 4. Całość zajęła mu 14 godz. Według mnie jest to najlepsza tegoroczna zimowa wspinaczka z rejonu „trawy zachodniej”.

Uwaga dotycząca wycen

Jak można zauważyć, wyceny podawałem w cyfrach arabskich, ale bez oznaczenia „M”. Postaram się to szybko wyjaśnić. Jest to wynik dyskusji, jakie przeprowadzaliśmy (Kuba Radziejowski i ja) zarówno z Marko Prezeljem, jak i z Polakami, którzy wspinali się w Szkocji. Przekonali nas oni, że skala M powinna pozostać do opisywania dróg wyłącznie ubezpieczonych spitami – tam, gdzie obciążenie psychiczne jest ograniczone do minimum.

Natomiast drogi z własną asekuracją, powinny być wyceniane w skali **szkockiej**. Tutaj powstał problem, gdyż skala szkocka częściowo pokrywa się w sposobie zapisu ze skalą **UIAA**, stosowaną latem u nas jako skala **tatrzańska**. Żeby uniknąć pomyłek, chcielibyśmy zaproponować wycenianie zimowych problemów w górach cyframi arabskimi, właśnie bez litery M. Dodatkowo do opisu asekuracji proponujemy zastosowanie następującego rozróżnienia (używanego już wcześniej sporadycznie przez zakopiańczyków): **W** – asekuracja wymagająca, **R** – ryzykowna, **X** – śmiertelna.

Sposób ten jest, naszym zdaniem, prostszy i bardziej zrozumiały niż system zaproponowany przez Roberta Jaspiera. W ten sposób unikniemy nieporozumień, zwłaszcza, że na świecie przyjęło się, iż M7 na spitach odpowiada mniej więcej, jeśli chodzi o trudności, szkockiej VIII w górach.

Na zakończenie

Tak, jak coraz modniejsza staje się wspinaczka lodowa, tak też coraz więcej ludzi zaczyna próbować swych sił w drytoolingu. Niestety, coraz częściej zdarza się, iż ludzie wspinają z „przrzędami” na letnich drogach, w rejonach, gdzie taka działalność została przez większość naszego środowiska potępiona (Jura, Sokoliki). Apelujemy więc: opamiętajmy się i nie niszczy my naszych skał, których i tak nie mamy za wiele.

Powyższe podsumowanie na pewno jest niekompletne, prosimy o przesyłanie informacji o nie zamieszczonych przejściach na adres redakcji.

Nowe drogi w Tatrach



Południowa ściana Kieżmarskiej Czuby.

Fot. M. Pronobis.



Południowa ściana Huncowskiego Szczytu.

Fot. M. Pronobis.

Kieżmarska Czuba – I wejście lewym filarem pd. ściany, *Babie lato* (IV A1): Marek Pronobis, 7.09.2005, ok. 5 godz.

Oryginalna formacja ciągnąca się przez całą ok. 400 m wysoką ścianę, na lewo od potężnego żlebu, oddzielającego lewy filar od prawego, którym częściowo prowadzi droga zejściowa. Droga ładna i w doskonałej skale. W zasadzie dolna część filara do trawersu stanowi też logiczne przedłużenie, o ponad 200 m w dół, *Filara Grosza*, który w takiej wersji staje się naprawdę długą drogą. Zaznaczyłem tylko pierwsze stanowisko – potem asekurowałem się okazjonalnie, gdy było trudniej, stąd nie bardzo umiem zaznaczyć wyciągów.

Huncowski Szczyt – 2 nowe drogi prawym filarem pd. ściany.

W prawej części pd. ściana ma ok. 250 m. Budowa jej jest dość skomplikowana. W połowie ścianę przecina grańka, za którą jest ukryty kociołek, z którego wyrasta górna część ściany.

Prawa droga wiedzie kilkoma ewidentnymi zacięciami (V) – I wejście: Marek Pronobis, 2.08.2005, ok. 2 godz.

Lewa droga prowadzi formacjami wypukłymi (V A1) – I wejście: Marek Pronobis 12.08.2005, ok. 3 godz.

Obie drogi łączą się na ostatnim odcinku, którym jest połogi, ale głęboki komin.

Marek Pronobis

Lotos i Fantasia

Dwie ekspedycje, dwa duety, dwa nowe big walle klasyczne

Dawid Kaszlikowski

Wiszę kilka metrów nad stanowiskiem. Odchylam się od ściany jak tylko mogę, próbując zaplanować kolejne metry drogi. Chcę, żeby była jak najładniejszym połączeniem sekwencji, żeby była logiczna i ciekawa. Właściwie mógłbym iść w każdym kierunku – wapien to taka skała, która puszcza prawie wszędzie. Wytyczenie drogi zależy więc od twojej fantazji. Idziesz gdzie chcesz a ostateczna linia, to wypadkowa twoich umiejętności i wizji.

Jesteśmy w kanionach Taghii, w samym środku Atlasu Wysokiego w Afryce Północnej. Okoliczne szczyty mają po 3000 m. Razem z Elizą otwieram drogę samym środkiem nietkniętej polaci na 800-metrowej ścianie Tagouimt N'Tsouiannt.

Przez lata ściana ta była celem hakomistrzów. Ich linie, to nie nadające się do wspinaczki twory przeszłości. Otwierali je nie pozostawiając możliwości asekuracji dla następców. Ich drogi nie są ubezpieczone (idący na drugiego wszystko wyczyścili) a szukający klasycznych wyzwań współczesni nie bardzo mogą na nie wejść, bo musieliby dobijać spity – nic innego w takiej formacji nie utrzyma lotów, które zdarzają się podczas klasycznego przejścia. Dodanie spitów bez uzgodnienia z autorem jest raczej niedopuszczalne. Dlatego stare drogi hakowe pozostają dziś puste. Ich autorzy egoistycznie przywłaszczyli je sobie być może na zawsze. Dziś ich ślusarski fach zupełnie nie kojarzy się ze wspinaczką. Jest to oczywiście nieodzowna metoda otwierania trudnych dróg w górach, gdzie jest zimno, a nawet tutaj w Afryce, ale czynienie z hakówki sztuki samej w sobie – tak akcentowane w pewnych kregach – jest dla mnie niezrozumiałe. Czy to, że ktoś potrafi sprawnie podciągać się na spręcie, czyni z niego guru wspinaczki? Często słyszę, że trudna hakówka wymaga nie lada psychy. Oczywiście to prawda, ale czy opanowanie strachu nie jest nawet trudniejsze podczas wspinaczki klasycznej gdzie nie masz czasu na wyciszenie oddechu, bo nie wiesz w bezruchu i walczysz o każdy metr nawet, gdy pod tobą czai się twarda półka a kości ledwo się trzymają? Co wymaga większej psychy? Czy pokonywanie strachu, tak



Dawid Kaszlikowski na 7. wyciągu drogi *Fantasia 7b b+*
Fot. E. Kubarska.

cenione w alpinizmie, nie jest nawet większą sztuką podczas wspinaczki klasycznej szczególnie na naturalnej asekuracji?

Takie, mniej lub bardziej banalne myśli zaprzatają moją głowę podczas długich godzin asekuracji. Na początku wspinamy się z Elizą na zmianę, a wytyczenie wyciągu czasami zajmuje cały dzień. Asekurujący ma sporo wolnego czasu, więc na zmianę: Eliza czyta książki, ja wiszę i rozmyślam.

Staramy się od razu wspiąć klasycznie i przez większość czasu właśnie tak otwieramy nową drogę, jednak nie zawsze się to udaje, niektóre sekwencje są skomplikowane i bardzo technicz-



Szczyty nad lodowcem Tawa. W środku Neverseen Tower, na prawo od niej Lotos.

Fot. D. Kaszlikowski.

ne, więc – chcąc nie chcąc –niektóre kawałki początkowo przechodzimy hakowo (trudności pod A3, spity bardzo daleko, dopiero później z poręczówek dobijemy ich trochę więcej).

Metr po metrze poszukujemy drogi wyznaczonej nam przez skalę. Jeżeli będzie zupełnie gładko i nie znajdziemy chwytów, to znaczy, że drogi tu nie ma. Wycofamy się i spróbujemy gdzie indziej, bo przewiercenie się przez ścianę, drabina bathooków, rive-tów, spitów – to nie jest wspinanie. Dla nas sens ma jedynie przejście o własnych siłach, klasycznie.

Mieszkańcy Taghii dzień po dniu obserwują nasze poczynania. Od kilku lat przyzwyczajają się do stałej obecności wspinaczy. Wzrasta popularność tego ukrytego głęboko w górach zakątka. Swoje drogi zdążyli tu już otworzyć tak wybitni wspinacze, jak Michel Piola, Arnaud Petit, Christoph Heinz, Rolando Larcher. Wszyscy zgodnym chórem uznali Taghię za jedno z najciekawszych wspinaczkowych odkryć ostatnich lat. Wielkie ściany, górujące nad kanionami Taghii, porównywane są do Dolomitów, jedynie skała jest tutaj bardziej lita (ale i bardziej ostra). Dla mnie i Elizy to już druga podróż do Taghii. W ubiegłym roku, wytyczając z Borkiem Szybińskim, Barracudę (7c+, 600m), byliśmy mile zaskoczeni gościnnością Berberów. Schronisko Sida Mesaouidi stało się naszą przystanią także i w tym roku. Tahar - nauczyciel z pobliskiej szkoły, jest naszym głównym kontaktem z Berberami, pomaga nam swoim angielskim, a jego podopieczni wołają już nie tylko: „un stilo”, „school pen”, „ten dirhams”, ale na nasz widok pozdrawiają nas gromkim okrzykiem: „cześć Elisa, cześć David”.

Nasza „ekspedycja” (jak to poważnie brzmi :-)) do Taghii, to jedynie dwie osoby, więc i siły topnieją w zastraszającym tempie. Eliza walczy z ciężką wiertarką i podczas otwierania drogi zalicza kilka dłuższych lotów, szczególnie, gdy osadzone w małych dziurkach aleny nie wytrzymują obciążenia. Pod koniec dołączy do nas jeszcze Przemek Klimek, z którym wytyczymy kilka końcowych wyciągów, ale na razie regenerujemy siły jedynie w towarzystwie Saïda i jego rodzinki. Potrzebujemy

tych „restów”, bo ściana jest naprawdę wielka.

Na ogół jedynym sprzętem, jakim posiłkujemy się podczas ubezpieczania drogi, są skyhooki. W dolnej partii ściany niektóre rysy pozwalają na asekurację na friendach, ale większość terenu to gładka skała, dlatego ostatecznie decydujemy się na ubezpieczenie drogi spitami aż do wysokości 500m. Potem teren nie wymaga już tak solidnego zabezpieczania.

Tym razem chcemy otworzyć linię, która będzie często odwiedzana i mamy nadzieję, że nie będzie tak trudna jak *Barracuda*, której do dziś nikt nie powtórzył. Nie wiemy jeszcze czy pomysł wytyczenia popularnej drogi zakończy się sukcesem, bo z każdym otwieranym metrem, ściana okazuje się trudniejsza. (W sezonie powakacyjnym 2005 drogę próbowało powtórzyć aż 6 zespołów, więc wygląda na to, że droga będzie chodzona).

Przed nami przejście RP, ukłasyzczenie drogi to nagroda po wielu dniach czyszczenia i ubezpieczania ścian. Razem z Elizą wchodzę w ścianę z mocnym postanowieniem, że droga powrotna to droga przez szczyt. Jesteśmy przygotowani na biwak na półeczce po 11. wyciągu. Dzień wcześniej Eliza zastawiła tam butelkę wody. Kiedy wieczorem dochodzimy na półkę, jesteśmy już strasznie odwodnieni, przed nami jeszcze kilka poważnych wyciągów, które zajmą cały następny dzień. Wspinamy się dosyć wolno, bo nie od razu udaje się przejść wszystkie wyciągi, z niektórych spadamy po dwa razy, więc za każdym razem zjazd do stanu i od nowa...

Biwak jest ciepły i spokojny, ale woda kończy się nam już nad ranem. Do tego woreczek z magnezją Elizy spadł, w moim – pustki, palce zaczynają się ślizgać...



Michał Król na Lotosie.

Fot. D. Kaszlikowski.

Wspinam się po technicznych wyciągach z trudnościami 7 b+/c (VI.4+/5), na wysokości 450 metrów i mimo wcześniejszych przygotowań, czasem trudno mi odnaleźć kluczowe „klamki”. Jestem tak odwodniony, że chwilami kręci mi się w głowie, usta są spękane a ślina zmieniła się w gęstą maź. Wspinam się zrywami, od trudnej sekwencji do następnej, potem łapię oddech i prawie walczę z omdleniem. Chwila „restu” i następny wyciąg. Pod wieczór jestem już w innym wymiarze, innym świecie. Kiedy kończymy przejście musimy się mocno koncentrować, żeby nie polecieć przy zjazdach. Najbardziej rozprasza nas szumiąca 800 m niżej rzeka. Dźwięk płynącej wody jest dla nas tortura, jeszcze tylko kilka godzin...

Półtora miesiąca w kraju. Wizyta na bunkrach w Janówku. „Mięśniak” z Remim walczą na nowych projektach w okolicy 8c, a moje palce zaczynają się otwierać nawet na rozgrzewkowym *Joe Weiderze*. „Każda wyprawa na wielką ścianę, każda ekspedycja - to strata mocy” - klarują mi towarzysze bunkrowych zabaw. Wygląda na to, że jestem ostatnim, który nie uświadamia sobie, że połączenie wszystkich odmian wspinaczki jest mało realnym pomysłem.

Tymczasem szykujemy następną wyprawę. Razem z Michałem Królem przygotowujemy poważną wyprawę do mało znanej doliny Miyar w Himalajach Lahul. Cel: zdobycie niezdobytogo. Nasza wiedza o dolinie Miyar oparta jest głównie na artykule Igora Kollera w

„Górach” i mailach od Paolo Vitaliego – alpinistycznego odkrywcy doliny.

Miyar to absolutnie odludne miejsce, które było eksplorowane jedynie przez kilka ekspedycji (pierwsza na początku lat 90-tych). Wiele szczytów pozostaje niezdobytymi, nie są nawet nazwane. Wielkie ściany, trochę podobne do Turni Trango w Karakorum, wystają tu na wysokość ok. 6000 m. Dolina Miyar ma ok. 100 km długości. Tutejsza kapryśna pogoda jest porównywana do groźnej aury Patagonii. Wejście do doliny jest możliwe jedynie przez 4 miesiące w roku, później burze śnieżne i opady odcinają ją od świata. W lipcu przed naszym przyjazdem cała dolina była pokryta śniegiem, zaraz po naszym wyjeździe znów spadł śnieg. Pierwsze 50 km doliny Miyar wędrujemy razem z wynajętymi końmi, niosącymi cały ok. 250 kg ekwipunku.

Trzydniowy trek w głąb doliny na wysokości ok. 4000 m jest dla nas pełnym zaskoczeniem. Mijamy łąki pełne kwiatów, wokół pasą się niemal dzikie stada koni i jaków. Przekraczamy dziesiątki strumieni a szczyty wokół wznoszą się łagodnie aż do wysokości 5000 m. Interesujące nas turnie czekają jednak w bocznych dolinach, takich jak Tawa. Musimy poświęcić dodatkowe dni na samotny transport sprzętu w głąb tej długiej doliny. Do miejsca nadającego się na bazę wysuniętą docieramy dopiero po kilku dniach



Przed wejściem w ścianę. Na drugim planie Lotos.

Fot. D. Kaszlikowski.

wahadlowego transportu. Wejście na morenę lodowca i wędrówka po głazach, które osuwają się po nim, jest naszą największą katorgą. Nic w czasie tej wyprawy nie jest już tak nieprzyjemne, jak przechodzenie po tym zapadającym się lodowcu. Czasami głazy obracają się pod stopami, odsłaniając dziury po 7 metrów głębokości. Innym razem, skalny rumosz na stromym zboczu zaczyna obsuwać się prosto na nas. Uciekamy tylko dzięki użyciu kijków. Każdego dnia zastanawiamy się, kiedy któryś z nas złamie nogę.

Pośród wielu wspaniałych celów, wybór „naszej ściany” nie jest łatwy. Dzięki Paolo Vitaliemu mamy do dyspozycji zdjęcie pewnej ściany, które otrzymaliśmy jeszcze podczas przygotowań w Polsce. Na komputerze w domu, pół żartem, pół serio, Michał nakreślił na nim linię naszej potencjalnej drogi. Szukamy słabych punktów ściany, ale zdjęcie jest nieostre i zbyt wyblakłe. Teraz, kiedy weszliśmy na morenę lodowca, widzimy Miyar w całej krasie.

Bazę wysuniętą zakładamy na wysokości ok. 5000 m. Po obejrzeniu szczytów z bliska zostawiliśmy nasz portalede w bazie, bo stało się jasne, że chcemy robić szybką klasykę i to właśnie na ścianie ze zdjęcia...

Pierwsze 250 metrów ściany poręczujemy, potem zamierzamy wspinać się non-stop do szczytu. Po dniu odpoczynkowym zrywamy się o 3 w nocy i z włączonymi czołówkami zaczynamy wspinaczkę po stromych polach lodowych, co zwykle zajmuje ok. 2 godzin (do pierwszego stanu). Nie uważaliśmy ich za część drogi (choć w warunkach himalajskich może należałyby je liczyć) i nie używaliśmy liny, ale było jasne, że nie można tam odpaść, bo lot zakończyłby się jakieś 500 m niżej.

Droga jest typowym mikstem. Dla sprzętowej wygody ustalamy z Michałem, że skałę robię ja w butach wspinaczkowych, a on idzie przez lód. Michał biegnie swoje kawałki, z rzadka wrzucając przeloty. Skalne wyciągi to głównie rysy, niektóre są przeraźliwie zalodzone. Czasem żałuję, że nie zabrałem ze stanowiska dziaby, innym razem skała idealnie nadaje się do klasyki.

Zaczęło się już ściemniać, a my ciągle jesteśmy daleko od prowadzącej w kierunku szczytu przełączki. Do tego ostatnie słońce tak wytopiło śnieg z kopuły szczytowej, że z przewieszanej ściany nad nami zaczyna płynąć wodospad. Musimy przejść pod ścianą wody, co sprawia, że po chwili jesteśmy cali mokrzy. Szczególnie Michał, który czeka aż skończy wyciąg, wisząc na stanie założonym akurat pod kurtyną wody.

Na innym wyciągu lód spadający spod dziab prowadzącego postanawia mnie zabić. Dostaje kilkana bryłami, spadającymi z wysokości 50 m, i gdy wije się i klnę na Michała, z grani powyżej spada jeszcze cięższy ładunek. Zasłaniając twarz, przyjmuje jeden z kamie-

ni prosto na przedramię. Przez chwilę myślę, że ręka jest złamana. Muszę długo ruszać palcami, by doprowadzić je do stanu używalności, a mam prowadzić następne wyciągi... Przed nami jest jeszcze kilka skalnych odcinków po mokrej skale. Założyliśmy wcześniej, że chcemy wszystko przejść klasycznie i w miarę możliwości OS, dlatego sprawność moich palców jest dość istotna. Następny wyciąg prowadzi po kruchej skale, haki nie chcą siadać, ale udało mi się wsunąć w kilka „klam”, jakieś friendy. Szansa, że utrzymają jest nikła, ale jesteśmy już tylko kilka wyciągów od grani szczytowej.

Gdy docieramy do przełączki, prowadzącej wg planów bezpośrednio na szczyt, okazuje się, że przed nami znów jest spiętrzenie skalne. Wielki obły „bulder” oddziela nas od wyprowadzającej na grani rysy. Ze stanowiska wygląda to tak: najpierw robimy „bulder” (bez asekuracji) potem będzie trzeba przeskoczyć odstęp między nim a główną ścianą, i w trakcie skoku – „deadpointem” wklinać się w rysę. Na szczęście rzeczywistość okazuje się łaskawsza i nie muszę wykonywać żadnego skoku. Rysa za VII, przy totalnych skurczach przedramienia, okazuje się wystarczająco trudna...

W końcu 5 września o 21.45 stajemy na szczycie. Po drodze, na śnieżnej kopule podszczytowej Michałowi odpina się rak, gdy go zakłada, ja siedzę na stanowisku kilka metrów niżej. Obserwuję go, łapiącego równowagę na tle gwiazd i oświetlonej czołówkami piramidy śniegu. Sceneria równie piękna, co abstrakcyjna. Nie robimy żadnych zdjęć szczytowych, bo choć noc jest spokojna i ciepła, myślimy raczej o szybkim powrocie (nie mamy ze sobą żadnego sprzętu biwakowego). Na jednym z głazów blisko szczytu zostawiamy tylko rzeczowy wpis pierwszych zdobywców i wchodzimy w całonocne zjazdy. Już na trzecim z nich lina zaczyna się blokować, potem jest już tylko gorzej i wolniej...

Gdy około godziny 8 następnego dnia, w końcu stajemy na płaskim, czyli bezpiecznym lodzie, sekundę po tym jak siadamy na jakimś kamieniu „film się urywa”...

Opisane wyprawy:

Tagouimt NTsouiannt (2977 m), północno-wschodnia ściana, nowa droga *Fantasia*: Eliza Kubarska, Dawid Kaszlikowski (z pomocą P. Klimka), 700 m długości, 7b+/c, – jedna z najdłuższych dróg w Atlasie Wysokim.

Sponsorzy: PZA, Alvika, Lanex, Lhotse, Yeti, Hurtownia Fatra.

Lotos (Himalaje Lahul, dolina Miyar, ok. 5630 m), pierwsze wejście na szczyt, południowo-zachodnią ścianą: Dawid Kaszlikowski, Michał Król, długość drogi 750 m plus ok. 500 m pół lodowych, VIII-, M6, OS, lód 80°, zaporeczowano pierwsze 200 m, potem stylem alpejskim non stop (28 godz. wspinaczki i zjazdów).

Sponsorzy: PZA, Alvika, Lanex oraz Lhotse, Marabut, Śnieżka, Miasto Nowy Targ, Montano.

Chiny – góry Qonglai

Błażej Ceranka

Góry Qonglai (lub Qionglai), które mieliśmy okazję odwiedzić w październiku 2005 r., leżą w chińskiej prowincji Siczuan, w okolicy 103°N długości i 31°E szerokości geograficznej. Nasze plany wspinaczkowe (południowa ściana Siguniang Szan) speliły w zasadzie na niczym, jednak rejon naszej wspinaczkowej fascynacji może być na tyle ciekawy dla szerszego grona odbiorców, że szkoda byłoby nie wspomnieć o nim ani słowem.

Pierwszy raz w górach Qonglai znalazłem się, razem z moją dzisiejszą żoną Jagodą, wiosną 2003 r. zupełnym przypadkiem. W trakcie naszej podróży po Chinach, znaleźliśmy się w sichuańskiej stolicy Chengdu, z zamiarem dostania się w masyw siedmiotysięcznika Gongga Szan (inaczej Minya Konka), który leży na południowy zachód od miasta i jest oddalony od niego o około dwa dni drogi. Jednak uciekł nam kursujący co dwa dni autobus, więc żeby nie czekać bezczynnie w mieście, na podstawie zdjęcia Siguniang Szan, które wisiało na dworcu autobusowym, postanowiliśmy udać się w bliższe i łatwiej dostępne (7 godzin drogi z Chengdu) góry Qonglai. Jedyną topograficzną pomocą podczas tej wycieczki była bardzo schematyczna granicówka, zawarta na ulotce pierwszego napotkanego w Chengdu biura podróży. Kilka dni waleśaliśmy się po dolinach wokół Siguniang Szan, podziwiając przepiękną sylwetkę tego szczytu jak i jemu pobliskich (np. granitowej, re-

gularnej piramidy Celestial Peak), i borykając się z kłopotami wysokościowo-żołądkowymi. Efektem naszej wycieczki były wspomnienia tego urokliwego miejsca i kilka rolek slajdów. Niestety wspomnienia z czasem blakną a rolki stały się łupem złodziejskiej ręki, która dotknęła nas pod sam koniec chińskiej przygody. Cóż było robić? Zebraliśmy większą ekipę (by lepiej chronić się przed złodziejami), większe ambicje (by wrócić z czymś więcej niż z garścią slajdów), więcej informacji (bo stara graniówka gdzieś się zapodziała), i jesienią 2005 r., po kilku dniach podróży wysie-





Widok na góry Qonglai z przełęczy Balang (skalna piramida to Celestial Peak).

Fot. B. Ceranka.

dliśmy z obok autobusu w wiosce Rilong u podnóża Siguniang Szan.

Siguniang Szan

Najwyższym szczytem gór Qonglai jest czwarty wierzchołek grupy Siguniang – Yaomei Feng o wysokości 6250 m, który najczęściej nazywany jest imieniem całej grupy. Grupa Siguniang (co oznacza Cztery Dziewczeta), składająca się z czterech odrębnych wierzchołków, jest wśród lokalnej, tybetańskiej społeczności bohaterem legendy. Otóż – jak mówi legenda – dawnymi czasy cztery piękne i dobroniuszne dziewczeta stanęły do walki z zjadłym lampartem w obronie pand żyjących w owych górach. Za swą odwagę zostały na wieczność zamienione w cztery piękne, urzekające szczyty.

Historia zdobywania głównego wierzchołka Siguniang Szan ma początek w roku 1981, gdy to Amerykanie: Jack Tackle, Jim Donini, Kim Schmitz i Jim Kantzler spędzili 11 dni na północnej flance góry. Osiągnęli wysokość 5000 m, po czym zrezygnowali. Tego samego roku powiodła się japońska próba wschodnią granią. Wejście trwało 16 dni, użyto 2 km lin poręczowych. Drugie wejście także przypadło w udziale Japończykom. W 1992 r., po 23 dniach wspinaczki, zdobyli górę drogą wiodącą z początku skalnym filarem w lewej części południowej ściany, a następnie granią zachodnią. Znaczącą kartę zapisał w historii góry amerykański wspinacz Charlie Fowler. Osiągnął on szczyt w samotnej, 3-dniowej wspinaczce prawą częścią południowej

ściany i dalej wschodnią granią. Północna ściana Siguniang czekała na przejście do 2002r. Wyczynu, który został uhonorowany Złotym Czekanem, dokonali Mick Fowler i Paul Ramsden. Linia, którą pokonali po 6 dniach zmagania, to lodowa rynnna o trudnościach szkockiej „szóstki”. Kolejne, piąte wejście, należy do zespołu amerykańsko-chińskiego w składzie Jon Otto, Tim Boelter, Ma Yihua, Chen Yunchi, Kang Hua i Chen Zigang; wyprawa ma-

jąca na celu pierwsze chińskie wejście na szczyt działała w roku 2004 na wschodniej grani – drodze pierwszych zdobywców.

Trzy pozostałe wierzchołki grupy Siguniang: Sanguniang (Trzecie Dziewczę) 5355m, Erguniang (Drugie Dziewczę) 5276m i Taguniang (Pierwsze Dziewczę) 5023m – razem z Yaomei tworzące wyjątkową kompozycję estetyczną – raczej nie stanowią ciekawego kąsku wspinaczkowego. Jednak najniższy z tych szczytów, na który można dostać się bez żadnych trudności, jest niewątpliwie wartym uwagi celem aklimatyzacyjnym.

Nasza wyprawa w roku 2005 pierwotnie za zadanie postawiła sobie przejście południowej ściany charakterystycznym kominem tuż na lewo od linii spadku wierzchołka. Jednak już w pierwszych dniach obecności w górach stało się jasne, że prawie zupełnie pozbawiony lodu komin jest dla nas „niewkaszalny”. Dalsze perypetie ze zmianą celów i załamaniami pogody doprowadziły do tego, że nie zrealizowaliśmy żadnego z naszych planów. Tak więc 1000 metrowy, porywający komin, biegnący prosto jak strzelił w górę przez całą wysokość ściany, czeka wciąż na zdobywców. Tak samo jak cała ściana wschodnia. Ma ona charakter wybitnie mikstowy, posiekana jest systemem śnieżnych żlebów i koryt. Śmiałości czeka długie (jak na warunki gór Qonglai), kilkudniowe podejście doliną biegnącą poprzez rezerwat pand, a więc znacznie mniej ucywilizowaną (dbałość o ochronę pand jest w Chinach bardzo restrykcyjna). Niewątpliwie polem do działania dla wybitnych wspinaczy jest też rozległa połączona monolitycznej ściany północnej.



Siguniang od południa – istniejące drogi i plan wyprawy polskiej.

Jedna istniejąca tam droga to zaledwie kropla w morzu możliwości. Jakkolwiek północna grań szczytu została już pokonana, to na razie tylko w kierunku z góry na dół (Mick Fowler i Paul Ramsden w zejściu), więc również ta logiczna i wymagająca linia czeka na pierwsze przejście. Atutem północnej, jak też południowej flanki jest krótkie podejście doliną Changping, możliwe do zrobienia w ciągu jednego dnia.

Sławę, którą niewątpliwie powoduje coraz większy napływ turystów, góry Qonglai zawdzięczają majestatowi Siguniang Szan. Nie można jednak zapomnieć o powodach, które przyciągają tu znaczne grono wspinaczy. Podczas gdy sam Siguniang z czterema istniejącymi drogami nie stanowi już tak dużej atrakcji eksploracyjnej, to w całym masywie znajduje się bez liku niezwykle atrakcyjnych wspinaczkowo szczytów, posiadających takie atuty, jak mniejsza wysokość (5300 – 5800 m), brak lodowców (nie ma konieczności używania sprzętu lodowego), łatwy dostęp, czy brak wejść szczytowych. Największe skupisko ciekawych szczytów znajduje się w otoczeniu trzech dolin: Shuangqiao (Dwóch Mostów), Changping i Bipung. Dwie pierwsze ciągną się z północy na południe, trzecia odwrotnie – z południa na północ. Z każdej z tych dolin da się bez większych problemów przedostać do sąsiedniej, przechodząc przez przełęcze o wysokościach 4600-4800 m (dwa przejścia zaznaczone na mapie). Trudno powiedzieć, czy inne doliny masywu są także ciekawe dla wspinaczy – nie jest łatwo zdobyć o nich jakiegokolwiek informacje.

Niewątpliwie trzy wymienione wyżej doliny wyróżnia wśród pozostałych bardzo łatwy dostęp (asfaltowe drogi lub wygodne ścieżki w głąb doliny) i to jest jedną z przyczyn rozkwitu ich eksploracji. Próby wejścia w głąb innych dolin skutecznie hamuje gąszcz rododendronów. Istniejące ścieżki szybko się urywają, do stępu bronią wodospady, trudne do ominięcia gęstymi, prawie pionowymi zaroślami.

Przekonali się o tym Agnieszka Łapa, Jagoda

Adamczyk-Ceranka i Mikołaj Zieliński, którzy podjęli próbę pierwszego wejścia na drugi co do wysokości szczyt gór Qonglai, który oznaczony jest na załączonej mapie kotą 5892 m (leży mniej więcej w jednej trzeciej długości doliny Bipung, na wschód od niej). Walka o przedarcie się od różnych stron do podnóża góry zajęła im mnóstwo czasu, a i tak nie udało się tam dotrzeć. Ciekawostką jest to, że prawdopodobnie nikt nie widział owego szczytu na tyle dobrze, aby stwierdzić, jakiego typu trudności przedstawia wejście – nikt jeszcze nie dotarł w jego pobliże, a otaczające go niewiele niższe wierzchołki nie pozwalają dostrzec go wyraźnie z większej odległości.

Dolina Shuangqiao

Wadą i zaletą 30-kilometrowej doliny Shuangqiao jest to, że do samego jej końca wiedzie betonowa droga, którą wielokrotnie w ciągu dnia kursują parkowe autobusy. Wadą, że na dnie doliny, wśród turystów i pojazdów, nie znajdziemy miejsca, gdzie moglibyśmy się cieszyć przestrzenią, jaka mogą dać nam tylko „niewywilizowane” góry. Zaletą, bo dostęp do celów wspinaczkowych staje się aż do przesady łatwy. A jest ich tutaj bez liku, z czego większa część to góry niezdobyte, na które nikt nawet nie próbował się wspiąć.

Powiem jednak najpierw o tym, czego już w tej dolinie dokonano. Prawdopodobnie pierwszą udaną wspinaczkę zrealizowali tutaj Włosi Gianluca Bellin i Diego Stefani. W październiku 2000 r. na szczycie Wong Szan (5200 m) powstała dzięki nim droga *Marco Polo*, 6c, 850 m. Jesienią 2003 roku Tanja i Andrej Grmovsekwie



Se'erdengpu (po lewej) i Putala Szan – najbardziej lite i strome urwiska gór Qonglai.

Fot. B. Ceranka.

ze Słowenii zdobyli południową ścianą wierzchołek turni Tan Szan (4943 m, droga *Don't flay away*, VIII/VIII+, 450m) a następnie wierzchołek Putala Szan (5428 m) ścianą zachodnią (droga *Dalai Lama*, VIII-, 1300 m). Obie wspinaczki Słoweńców to drogi czysto skalne, klasyczne, podczas przejść użyto tylko kości i friendów. Następne odnotowane wejścia miały miejsce w roku 2004 i stały się udziałem Anglików Anne i Johna Arran'ów. Weszli oni na boczny wierzchołek Putala Szan o wysokości 5018 m, który nazwali Mi Mi Szan (droga 5c, 350m), po czym zdobyli północną ścianą szczyt Niuxim Szan (4942 m), który z pewnej perspektywy do złudzenia przypomina Matterhorn (droga 6a, 500 m). Ostatnim odnotowanym dokonaniem w dolinie Shuangqiao jest przejście latem 2005 r. północnej ściany Putala Szan przez solistę, Japończyka Yasushi Yamanoi. Choć wiem, że w tej dolinie jesienią wspiniała się jeszcze dwójka Szwajcarów, to ze względu na brak kontaktu, niestety nie mogę podać szczegółów ich działalności.

W grani pomiędzy doliną Shuangqiao i Czapging leży bodaj najtrudniejszy szczyt masywu, na który nie powiodły się dotychczasowe próby i pozostaje wciąż niezdobyty – Se'erdengpu (5592 m). Najbardziej niedostępne, ale zarazem bardzo piękne ściany opadają właśnie do Shuangqiao – stanowią najbardziej lite i strome skalne urwiska, jakie widziałem w górach Qonglai (na zdjęciu ściana zachodnia Se'erdengpu oraz północna i zachodnia Putala Szan). Po przeciwnej stronie doliny leżą nato-

miast szczyty, może nie tak trudne technicznie, ale za to bardzo kształtne i estetyczne, pokryte w dużej mierze śniegiem.

Dolina Changping

Utworzona droga doliną Changping wiedzie tylko przez kilka kilometrów, niemniej jednak i tutaj nie ma problemu z dostaniem się do serca gór. Po zakończeniu asfaltu, kolejne kilka kilometrów (około 5) idziemy specyficznym traktem zbudowanym z desek

przypominającym niekończący się pomost. Stanowi on alternatywę dla piesznych wobec równolegle biegnącej błotnistej ścieżki, którą poruszają się konie wiozące turystów. Od miejsca zwanego Wyschniętym Lasem (od kikutów drzew sterczących z koryta rzeki), gdzie kończą się deski, idziemy już razem z końmi aż do końca doliny. Przy deszczowej pogodzie trakt ów przeradza się w wielkie, poryte kopytami bagnisko, a rozlewiska rzeki stają się miejscami trudne do przebycia.

Z miejsca, gdzie kończy się asfalt, obok ruin tybetańskiego monasteru rozciąga się wspaniały widok na Siguniang Szan; za Wyschniętym Lasem natomiast wyłania się zza zalesionego zbocza idealna piramida granitu – Celestial Peak (5413 m, in. Pomiu, czyli Babcia legendarnych Czterech Dziewcząt). Regularność kształtu jest wprost zadziwiająca. Oprócz niesamowitego kształtu, Celestial kusi też łatwym dostępem – znajduje się mniej więcej w połowie długości doliny, jako ostatni szczyt w bocznej grani, więc spiętrza się bezpośrednio ponad korytem rzeki Changping. Zatem nic dziwnego, że ta właśnie góra, jako pierwsza w dolinie, po Siguniang Szan, doczekała się zdobywców. Byli nimi Amerykanie pod wodzą Teda Vailla a działo się to w roku 1983. Dwa lata później, w roku 1985, właśnie Celestial Peak skupił uwagę, tym razem samotnego alpinisty Keitha Browna, także ze Stanów Zjednoczonych. Odnosił on sukces na dziewiczej południowo-wschodniej grani. Rok 1994 to pierwsza wizyta w górach Qonglai Charliego

Fowlera, znanego amerykańskiego wspinacza. Z zebranych przeze mnie materiałów wynika, że wspinał się on tutaj tylko samotnie. Najpierw wszedł na bezimienną turnię na zachód od Celestial Peak, a następnie na dwa bliźniacze wierzchołki grupy Camel Peaks (5484 m). Charlie ponownie pojawił się w dolinie Changping trzy lata później. Wizyta zaowocowała zdobyciem Yangmantai oznaczonego kotą 5666 m, oraz wejściem na Siguniang (o czym pisałem wcześniej). W tymże roku 1997 John Mesler ze Stanów Zjednoczonych – także solo – zdobył bliżej nieokreśloną skalną turnię na południowy-zachód od Celestial Peak, drogą o trudnościach 5.9. Jesienią 2005 roku Amerykanie Chad Kellog, Joe Puryear i Stoney Richards stanęli na dwóch dziewiczych wierzchołkach ponad doliną Changping. Pierwszy z nich to The Angry Wife (jak nazwali go zdobywcy) o wysokości 5020 m, którego położenia nie potrafię sprecyzować, a drugi to Daogou 5465 m, zdobyty drogą o trudnościach dochodzących do 5.10+.

W dolinie Changping, prócz wielu szczytów i turni skalnych leżących o okolicy Celestial Peak, nasuwają się jako cele pierwszych wejść także wierzchołki oferujące wspinaczkę lodową i miksową. Najmniej oddalonym od wioski Rilong jest szczyt 5583 m., którego wschodnią flankę możemy podziwiać na zdjęciu. Ta stroma, pocięta pionowymi żłebami ściana, gdy panują na niej dobre warunki, czyli raczej zimą lub wczesną wiosną, stanowi na pewno ciekawe wyzwanie. Po przeciwnej stronie doliny, lecz dalej w jej głębi, leży natomiast Long Gorge Peak (5700 m) z szeroką i niebezpieczną ścianą północną, nakrytą od góry ogromnymi nawisami seraków. Trudno zachęcać do zmierzania się z takim celem, jednak warto chociaż odnotować jego istnienie.

Dolina Bipung

Najmniej do tej pory eksplorowaną doliną, z trzech przeze mnie opisywanych, jest Bipung. Mimo, że do połowy wiedzy asfaltowa droga i przewijają się tu rzesze turystów, udało mi się dotrzeć tylko do dwóch relacji wejść szczytowych w tej dolinie. Przyczyn takiego stanu rzeczy należy chyba szukać w tym, że wioska Rilong, stanowiąca bazę wypadową do dolin Shuangqiao i Changping, jest dużo bardziej nastawiona na turystykę (i alpinizm), niż leżące po północnej stronie masywu miasteczko Li Xian. Rilong to hotele, pensjonaty, tanie pokoje o niskim standardzie (w takich spaliśmy), jest nawet sklep wspinaczkowy i knajpa o górskim charakterze. To miasteczko powoli zaczyna rozumieć potrzeby turystów-wspinaczy. Natomiast Li Xian to typowe

chińskie małe miasteczko – nikt nie rozumie po angielsku, chęć udania się w góry na więcej niż jeden dzień budzi zdziwienie. Rilong ma też inny, ważny atut – to stąd idzie się by zobaczyć czy wspiąć się na Siguniang Szan – główny szczyt gór Qonglai. Dlatego właśnie tutaj przybyli pierwsi wspinacze i stąd zaczęli rozchodzić się dalej, stopniowo zdobywając informacje.

Obydwa udane wejścia w dolinie Bipung stały się wiosną 2004 roku udziałem Jona Otto (USA) i Su Rongqing (Chiny). Najpierw ich łupem padł Peak 5370 m a następnie Half Ridge Peak 5430 m (in. Banji Feng), leżące niedaleko siebie. W drugim wejściu uczestniczyli także Ma Yihua, Ni Hui, Liu Qing i Sun Ping – wszyscy z Chin. Obie wspinaczki to drogi śnieżno-lodowe o umiarkowanym stopniu trudności (do 60° nachylenia).

Potencjał wspinaczkowy doliny Bipung jest ogromny. Niemal każdy szczyt na południowym jej krańcu to poważne wyzwanie alpinistyczne. Napiszę tylko (z jednym wyjątkiem) o tych, które widzieliśmy i które mogą pokazać na fotografiach (z doliny Bipung mamy najuboższy materiał fotograficzny, ale i tak zdjęcia robią wrażenie). Tak więc Yangmantai (spotykana też nazwa Fattenning Sheep) od północy. Szczyt nie jest dziewiczy (pierwsze wejście: Charlie Fowler od południa), ale jego piękna, piramidalna ściana, opadająca do doliny Bipung, przyciągnąć może zarówno wspinaczy skalnych jak i lodowych. Na fotografii widać monolityczne połacie granitu i śnieżno-lodowe nitki, które dopiero się tworzą (zdjęcie zrobione jesienią po kilkudniowym opadzie śniegu). Kolejną propozycją jest szczyt o wysokości 5404 m, leżący na samym końcu doliny Bipung i stanowiący zwornik trzech opisywanych dolin. Ciekawie prezentuje się też szczyt 5513 m o kształcie pletwy – na zdjęciu ostra, północna grań tego szczytu.

Nie można pominąć w tym skrótowym opisie szczytu 5892 m. Ten drugi, co do wysokości szczyt gór Qonglai pozostaje wciąż niezdobyty i stanowi nie lada gratkę dla alpinistów-eksploratorów. Nie wiadomo jak dotrzeć pod granie, czy ściany tego szczytu, ani też, jakich trudności można się spodziewać podczas wspinaczki. Co więcej – istnieją wątpliwości, co do jego wysokości. Wartość 5892 m podaje mapa rosyjska, jednak już na chińskiej mapie wojskowej nie doszukamy się szczytu a takiej wysokości. Najwyższą kotą jest tu 5714 m, lecz punkt ten leży prawie 2 km od najwyższego punktu mapy rosyjskiej.

Przydatne informacje

Do Rilong, u podnóża Siguniang Szan, dojeżdża się normalnym, kursowym autobusem ze sto-



Yangmantai od północy.

Fot. M. Zieliński

licy Sichuanu – Chengdu. Pokonanie 200 kilometrowej trasy trwa 6-7 godz. i kosztuje 63 RMB (1 RMB inaczej 1 yuan albo 1 kuai to ok. 0,4 zł). Podobny jest czas i koszt dojazdu do Li Xian. W Rilong godnym polecenia dla osób, przedkładających małe koszty ponad luksusy, jest hotelik przy barze „Iced Rock” – nocleg kosztuje 10 RMB, jest dostęp do internetu a właściciel Tang Wai – chyba jako jedyny mieszkaniec Rilong – mówi dobrze po angielsku (choć nie jest to „fluent english”). Dla bardziej wygodnych: cała gama hoteli, w których śpią zamożni Chińczycy – jednak klimat nie ten, co w „IcedRock-u”. Kolejnym krokiem jest przekroczenie granicy parku – opłata 60-80 RMB (w zależności od doliny) za każde wejście. W transporcie tobołów pomocny może okazać się konik – dzienna stawka poganiacza to 150 RMB. Wreszcie stajemy pod ścianą, jeżeli jest to ściana Siguniang Szan, lub dziewiczego wierzchołka, portfel jest lżejszy o 700 \$ (cena za zespół), jeśli jakkolwiek inna – kosztuje nas to 30-50 \$ od osoby (dane z roku 2005 – mogą ulegać zmianie).

Sezon wspinaczkowy w górach Qonglai to w zasadzie wiosna i jesień. Wiosna – na drogi lodowomikstowe, jesień – na skalne. Lato z reguły jest deszczowe, niemniej jednak i w tym okresie dokonywano wartościowych przejść (np. Yasushi Yamanoi latem 2005 na Putala Szan). Do tej pory nie pojawiła się w górach Qonglai działalność zimowa, pomimo tego, że warunki mogą być wtedy nie najgorsze. Ponoć góry zimą świecą pustkami, sporadycznie zdarzają się wycieczki dnem doliny. Jest to zatem szansa, by w tym stosunkowo łatwo dostępnym rejonie, poczuć się prawdziwie samotnym i przeżyć przygodę w warunkach wysokogórskiej zimy.

Muszę jeszcze wspomnieć o tym, że nazewnictwo szczytów, jakie pojawiło się w tym tekście, jest kompilacją nazw spotkanych w różnych źródłach – nazwy chińskie mieszają się z angielskimi, można odnieść wrażenie, że nie ma w tej kwestii ładu. I tak jest istotnie. Ja za podstawę przyjąłem nazewnictwo Tamotsu Nakamury – wybitnego japońskiego znawcy gór Chin, redaktora naczelnego „Japanese Alpine News”. W przypadku obszarów, których Nakamura nie porusza w swoich publikacjach, użyłem nazw występujących w

informacji źródłowej.

Przydatne kontakty

- Chen Hao, e-mail: shama_ym@hotmail.com – bardzo przyjazny i pomocny młody Chińczyk, pracujący w agencji turystycznej w Chengdu. Udzieli informacji na temat kosztów administracyjnych w górach Qonglai i doradzi jak je zminimalizować. Według Chena alpinizm dzieli się na „Russian Style”, „Alpin Style” i „Expedition Style” – nie muszę dodawać, który jest najhonorniejszy. Polacy, jako sąsiedzi Rosjan, mają fory.

- Tang Wei, e-mail: bigtank1211@163.com – właściciel baru „IcedRock”, hoteliku i sklepiu wspinaczkowego, w którym można nabyć gaz. Jedyny napotkany w Chinach przez nas system to tzw. „epigaz” (nie ma kłopotu z dostępnością!), karimaty, czołówki i tym podobne drobiazgi. Tang wstaje póżno (niekiedy o 13 udawało się go dobudzić) ze swego namiotu rozstawionego w barze, ale też do późnej nocy zajmuje się swoim hobby. Jeśli macie lekkie sen, to przy wyborze noclegu w Rilong weźcie pod uwagę, że tym hobby jest perkusja.

Literatura

- „Japanese Alpine News”, Vol. 3, 4, 5
- „American Alpine Journal”, roczniki 2000, 2005
- „The goddess on the mountains on southwestern China”, Kenzo Okawa 2002
- „Siguniang – a sacred mountain in the east”, 2005

Portale internetowe: www.summitpost.org, www.climbing.com

Karakorum 2005

Rafał Sławiński

Był już koniec sierpnia: tragarze dotarli dzisiaj do bazy, którą mieliśmy opuścić jutro rano. Lato zbliżało się do końca. Udało nam się jednak wytargować jeszcze jeden dzień na wspinanie, tak, że zamiast zwiać obóz, znajdowaliśmy się w połowie wysokości stromego kuluaru. „Wygląda na lód i mikst, ale daleko mu do pionu” – pomyślałem, spojrzawszy w górę na kolejny wyciąg. Wkrótce przekonałem się, że rzeczywiście, do pionu mu daleko, tyle, że w odwrotnym kierunku. „Drytoolując” w przewieszanej szerokiej rysie, żeby dotrzeć do potrzaskanego lodowego filarka, miałem wrażenie, że jestem w trudnym mikstowym terenie w Górach Skalistych. Ale tymczasem znajdowałem się Karakorum, na wysokości ponad 5500 m, atakując niezdobytą turnię.

Cała historia zaczęła się w marcu e-mailem od Steve’a Swensona. Steve, weteran wielu wypraw w góry Pakistanu i Nepalu, poszukiwał partnera do próby wejścia na niezdobyty szczyt o wysokości 6666 m w dolinie Kondus, we wschodnim Karakorum. Do e-mailu dołączone było zdjęcie czegoś, co przypominało Filar Walkera na Grandes Jorasses. Pomimo zaplanowanego na późną wiosnę wypadu na Alaskę, wyraziłem zainteresowanie potencjalnym wyjazdem do Pakistanu. Tymczasem biurokracja pakistańska zmusiła Steve’a do zmiany planów – w tej sytuacji jego wybór padł na niezdobyty szczyt o wysokości 7040 m, ja zaś rozważałem perspektywę opłacenia nie tylko jednej, ale dwóch poważnych wypraw oraz – co nie było dla mnie bez znaczenia – utratę letniego sezonu w moich ulubionych Rockies. Jadąc któregoś ranka do pracy, pomyślałem jednak „raz kozie śmierć” – i zdecydowałem się na moją pierwszą azjatycką przygodę.

W drugiej połowie lipca znalazłem się w hałaśliwym i pełnym kurzu Skardu, bramie wjazdowej do Karakorum. Parę dni później, Steve, Rasool – nasz przewodnik, kucharz i przy-

jacieli w jednej osobie – oraz ja, wsiedliśmy do jeepa o najbardziej tyskich oponach, jakie kiedykolwiek widziałem, i wyruszyliśmy wzdłuż mętnych wód Indusu do wioski Hushe. Kiedy krętym, wąskim szlakiem pokonywaliśmy ostatnie kilometry trasy, nie mogłem oderwać oczu od otaczającej nas egzotyki: morelowe gaje, ponad nimi coraz wyższe granitowe iglice, a w końcu błyszczący w słońcu Masherbrum, wznoszący się pięć kilometrów ponad dno doliny. Niestety, dostaliśmy również odmowę pozwolenia na nasz siedmiotysięcznik i w tej sytuacji musieliśmy zainteresować się „szczytami trekkingowymi”, jak określa się w Pakistanie wszystko to, co nie przekracza 6500 m. Tak naprawdę, nie miało to dla mnie znaczenia: w Karakorum byłem zafascynowany nie tylko najwyższymi szczytami, ale absolutnie wszystkim.

Trzy dni później, z jednodniowym opóźnieniem, spowodowanym „obowiązkowymi” kłopotami żołądkowymi, zainstalowaliśmy się na wysokiej łączce (ok. 4300 m) pod zachodnimi urwiskami K7. Po wejściu w deszczu na pięciotysięczną baluchę i wspinaczkę w śniegu i lodzie na nieco wyższego, sześciotysięcznego pipanta, zaczęliśmy coraz lepiej czuć się w rozrzedzonym powietrzu. Gdy po mniej więcej tygodniu wędrówek i bulderingu w okolicach bazy, wybraliśmy się na kła-



Baza, Hassin i niezdobyta północna ściana K6 (7282 m).

Fot. R. Sławiński.



Zbliżamy się do pierwszego biwaku na Hassinie.

syczną brytyjską drogę na Naysar Brakk (ok. 5200 m), typową iglicę Karakorum, czułem się tak jakbym był w Bugaboos. Tak, było zupełnie jak w Bugaboos, dopóki z nosem w ścianie miałem przed oczami granit. Natomiast, gdy odpoczywałem na stanowiskach i przyglądałem się gigantom otaczającym lodowiec Charakusa, nie mogłem uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę

W pierwszym okresie pobytu w dolinie pogoda była zmienna: odpowiednia dla bulderingu i jednodniowych wspinaczek, ale nie wystarczająco dobra, aby przymierzyć się do czegoś poważniejszego. Oczekiwana zmiana nadeszła po 10 dniach: nasi szwajcarscy sąsiedzi dostali przez telefon satelitarny wiadomość, że w nasz rejon nasuwa się układ wysokiego ciśnienia. Opierając się na szwajcarskiej prognozie, podeszliśmy w trójkę: Steve, młody alpinista niemiecki Hans Mitterer i ja, do podstawy zachodniego żebra niezdobytego dotąd Hassin Peak (ok. 6300 m). Następnego dnia, wciąż w chmurach i przelotnych opadach śniegu, przekroczyliśmy szczelinę brzezną i rozpoczęliśmy wspinaczkę. Pola lodowe, początkowo o nachyleniu 60°, a nieomal pionowe na ostatnich paru wyciągach, doprowadziły nas na ostrze żebra. Ponieważ stopniowo wypogadzało się, kontynuowaliśmy wspinaczkę śnieżnymi kuluarami, suchymi kominami, przeplatanych odcinkami doskonałego, plastycznego lodu, lub na odmianę, rozmokłej ciapy. Słońce opuszczało już górę, gdy znaleźliśmy się z powrotem na ostrzu grani. Wyciąg czy dwa strome, ostrego grzebienia o konsystencji „pół śniegu, pół powie-

trza”, doprowadziły nas do dobrego miejsca na biwak. Kuchenka warczała do późnej nocy, topiąc śnieg by ugasić dręczące nas pragnienie. Do wierzchołka pozostało tylko 800 m.

Zdecydowaliśmy pozostać w namiocie cały sprzęt biwakowy i pójść „na lekko” na szczyt.

Zgodnie z prognozą, następny ranek przyniósł bezchmurną pogodę. Asekurowałem Steve’a sprzed namiotu, dygocąc w ciemno-granatowym cieniu. Obserwowałem leżącą zdawałoby się na wyciągnięcie ręki odstraszającą północną ścianę K6, najeżony bastionami i wieżami K7, wyglądający jak

średniowieczna forteca, morze granitowych iglic otaczających naszą bazę, teraz zlewających się ze sobą i gubiących gdzieś w dole, wreszcie w oddali – potężną sylwetkę Masherbrum, wznoszącą się na tle czystego nieba. W miarę upływu dnia stopniowo się ocieplało. Gdy zmagaliśmy się z końcowym mikstem na wysokości około 6000 m, słońce przetoczyło się na „naszą” stronę góry i zmieniło diametralnie konsystencję śniegu na stromych, podszczytowych stokach. Upał i wysokość zaczęły dawać się we znaki, spowalniając nasze ruchy, przypominające teraz pływanie w lepkiej cieczy. Do wierzchołka było ciągle około 300 m w pionie i nie mieliśmy szans na dotarcie tam przed zmrokiem. Wyszukiwanie bezpiecznych stanowisk i zakładanie zjazdów przy świetle czołówek nie byłoby łatwe, a nie byliśmy zdecydowani na kompletnie nieprzygotowany biwak. Z łałem założyliśmy pierwszego „abalakowa” w mizerny kawałek lodu i rzuciliśmy liny do zjazdu. Gdy dotarliśmy do namiotu, słońce chowało się za horyzont. Następnego ranka, przy ciągle bezchmurnym niebie, kontynuowaliśmy zjazdy, osiągając lodowiec wczesnym popołudniem. Mieliśmy mieszane uczucia, czuliśmy ulgę, byliśmy zawiedzeni, ale też i usatysfakcjonowani. Pomimo że nie dotarliśmy do wierzchołka, przeżyliśmy trzy dni wspaniałej alpejskiej wspinaczki. Idąc w górę zabraliśmy to, co dało się unieść na plecach, a wracając zostawiliśmy tylko kilka pętli.

Po okresie wysokiego ciśnienia nastąpiło całkowite załamanie pogody. Zajmowaliśmy się więc spaniem, czytaniem, jedzeniem i piciem niezliczonych kubków herbaty. Czasami zdarzały się prze-

Fot. R. Sławiński.

rwy w deszczu, na tyle długie, by pozwolić na krótkie sesje bulderingu; pewnego dnia mogliśmy nawet wybrać się na skalną wspinaczkę w pobliski wąwozie u podnóża K7, zwanym Asteroid Valley, ale to było wszystko. Była już druga połowa sierpnia, Hans i Szwajcarzy stwierdzili, że mają już dość i posłali po tragarzy. Steve i ja postanowiliśmy jeszcze powalczyć z przeciwnościami. Mimo, że pogoda była wciąż niepewna, nieco



Księżyc wschodzi nad Hassinem.

Fot. R. Sławiński.

się przejaśniło, co skusiło nas do powrotu w górę doliny i ponowienia próby na Hassin Peak. Tym razem byliśmy zdeterminowani nie powtarzać naszego błędu z pierwszej próby i planowaliśmy założenie ostatniego biwaku znacznie wyżej, by atakować podszczytowe stoki, gdy jeszcze są zmrożone. Niestety rzeczywistość okazała się inna. Zanim zadzwonił budzik, obudził nas szmer śniegu padającego na namiot, przerywany głuchymi grzmotami lawin. Spakowaliśmy plecaki i wróciliśmy do bazy.

Niemniej jednak przesunęliśmy termin przybycia naszych tragarzy o następne parę dni. Oznaczało to, że wszystko musi pójść bez zacięć, żeby zdążyć na samolot w Islamabadzie, ale dawało nam jeszcze trochę czasu na góry. Mieliśmy tego czasu za mało na ponowne zaatakowanie Hassin'a. Wybraliśmy więc stromą lodową linię, wiodącą na wschodni z trzech wierzchołków Farol Peak (ok. 6200 m) – linię, która wyglądała na możliwą do pokonania szybkim wypadem. Wieczór zastał nas biwakujących na morenach pod ścianą. Cóż to był za biwak! Promienie chylącego się ku zachodowi słońca przebijały się przez chmury i oświeślały granitowe bastiony K7 ciepłym pomarańczowym blaskiem, podczas gdy śniegi K6 skrywały się już w ciemnobłękitnym mroźnym cieniu.

Gdy weszło słońce, byliśmy wysoko ponad dolnymi partiami naszego kuluaru. Podeszliśmy pod ścianę jeszcze po ciemku, przekraczając teren gru-

bo pokryty świeżym gruzem lodowym. Byliśmy już teraz bezpieczni pod skalnymi ścianami, przeciętymi białą, przerywaną linią lodu. Związaliśmy się pod stromą kurtyną lodowych świeczników, przypominających mi dobrze znane Góry Skaliste. Posiadana aklimatyzacja powodowała, że wysokość, już wyraźnie powyżej 5000 m, nie robiła na nas większego wrażenia. Kilka wyciągów stromego lodu i leżące ponad nim półko lodowe doprowadziły nas do miejsca, wyglądającego na kluczowe. Wspinaczka szła wolno i gdy znaleźliśmy się znów razem na stanowisku, doszliśmy zgodnie do wniosku, że mamy niewielkie szanse, aby ukończyć drogę przed zmrokiem. Na razie jednak oczekiwał nas kolejny wyciąg stromego, zmurszałego lodu i ostatecznie, jakie znaczenie miało to gdzie nas ten lód doprowadzi? Chodziło przede wszystkim o to, żeby się powspinać. Z leżącego powyżej pola śnieżnego otworzył się widok na gładką, przewieszoną ścianę zamykającą kuluar. I to by było na tyle! Rozpoczynając zjazdy, mieliśmy satysfakcję, że dotarliśmy tak wysoko, jak to było możliwe w naszych warunkach.

Następnego ranka wstaliśmy wcześniej i ruszyliśmy w dół. Rasool wypatrzył nas na stromym trawiastym stoku powyżej bazy i natychmiast wysłał dwóch tragarzy żeby zabrali nasze plecaki. Przygoda zbliżała się do końca, ale z każdym krokiem w dół doliny rosło we mnie poczucie, że trzeba tu wrócić – Inshallah!

Tłum. Janusz Kurczab

Zeszłego roku w Dolinie...

Maciej Ciesielski

Jesienią zeszłego roku, co było dla mnie naprawdę dużym zaskoczeniem, znów udało mi się dotrzeć do Doliny Yosemite. Był to najkrótszy z moich dotychczasowych pobytów, trwał tylko trzy tygodnie. Cieszę się jednak z tego okresu niezmiernie. Po pierwsze powspinałem się jak nigdy, po drugie miałem przyjemność być świadkiem swoistej zmiany, jaka nastąpiła w podejściu do wspinania w Dolinie, zwłaszcza w naszym, polskim wykonaniu.

„Młoda krew”

Pierwszy raz w Dolinie wspinało się tak wielu „młodych”, a także, co niezmiernie ważne, pierwszy raz, pojawiło się tyłu „nowych zawodników”. Jak dotąd liczba osób wspinających się po ciekawych drogach (ze sportowego punktu widzenia), była praktycznie ta sama i poza małymi wyjątkami, w całości wywodziła się z pokolenia „Nowej Fali”. Także cele zaczęto dobrać inaczej, mianowicie jeszcze kilka lat temu najczęściej głównym celem wyjazdu do Doliny było przejście poważnej drogi big wall, w stylu hakowym, najlepiej jeszcze, gdy była to droga spod znaku A5. Parę lat temu, głównie za sprawą Jacków – Krawczyka i Zaczekowskiego, coraz większy nacisk zaczęto kłaść na wspinanie klasyczne, oraz na przejścia szybkie tzw. non stop. („Jaca” Zaczekowski ma np. 3 jednodniowe przejścia ściany El Capitana drogami o trudnościach big wall’owego VI). Ten zapoczątkowany przez nich kierunek miał być w tym roku dominujący.

Wiosna

Najciekawszym przejściem z sezonu wiosennego jest najszybsze, a przy okazji pierwsze polskie przejście non-stop drogi *Salathe Wall* VI, 5.9, C2 w czasie 32 godz. Dokonał tego zespół Jacek Krawczyk i Marcin Tomaszewski. Podczas ich wspinaczki nastąpiło załamanie pogody, czego konsekwencje mogły być poważne, gdyż zespół wspiął się „na lekko” rok wcześniej, jesienne załamanie pogody skończyło się tragicznie – śmierć ponieśli dwaj Japończycy, wspinający się na drodze *The Nose*. Na szczęście skończyło się tylko na przeraźliwie wietrznym, kilkogodzinym przeczekiwaniu największego huraganu. Potem jeszcze tylko siedmiokilometrowy powrót w butkach wspinaczkowych i można odpocząć na Campie. W celach rozwspinania się, dwa dni wcześniej, Jacek z Marcinem pokonali klasycznie w stylu OS/RP pierwsze 10 wyciągów *Salathe* (tzw. *Free*

Blast’a) 5.11b. Jeszcze przed powrotem Marcina do Polski, zespół ten pokonał drogę *Astroman* 5.11c na Washington Column, niestety „azerując” w trudnościach.

Wiosną przebywali w Dolinie także Jacek Zaczekowski i Andrzej Marcisz – zespół znany chociażby z pokonania w 2004 roku drogi *The Nose* VI, 5.9, C2 w czasie 16 godz. Niestety, ambitne plany zostały pokrzyżowane przez kontuzje Andrzeja, a także przez szczególnie mocno w tym roku utrudniających życie na Camp 4 rangersów. W tej sytuacji Jacek – w zespole z Andrzejem Puszem i Januszem Skibą – dokonał pierwszego polskiego przejścia *Crest Jewel Direct* 5.10d, OS, 14 wyciągów, na North Dome.

Jesień

Klasyka

Teoretycznie sezon jesienny zaczyna się we wrześniu, gdyż wcześniej na El Capitanie jest na jakąkolwiek działalność za gorąco. Jednak nie na darmo Yosemite to wspinaczkowy raj - podczas, gdy „na dole” – w Dolinie marzymy tylko o kąpieli w chłodnej Merced River, „u góry”, czyli w Tuolumne Meadows, możemy realizować swoje wspinaczkowe plany, począwszy od bulderingu, a na wielowyciągowych drogach skończywszy. Tak też uczynili bracia Pustelnikowie – Adam i Paweł, którzy w towarzystwie kamerzysty Maćka Szafnickiego, spędzili w Tuolumne praktycznie cały sierpień. Mając ambitne plany, związane ze wspinaniem na El Capitanie, wzięli sobie do serca rady, by wcześniej poświęcić jakiś czas na rozwspinanie się, w tak trudnych dla Europejczyka formacjach (nawet dla tak dobrego wspinacza sportowego, jakim jest Adam), jakimi są rysy. Zaprocentowało to świetnymi wynikami i pozbawionym kompleksu podejściem do yosemickich „dróg-mitów”, ale o tym za chwilę. Z ich ciekawszych przejść w High Country, jak niekiedy zwie się tu Tuolumne, należy wymienić:

- Megaklasyk, jakim jest *OZ* plus *Gramm Traverse* na ścianie Drug Dome 5.10d, 200 m, styl przejścia flash; samego *OZ*-a w stylu OS pokonał także zespół Adam Pieprzycki – Jacek Krawczyk;

- Całą kolekcję dróg ze ściany Harlequin Dome, a w szczególności: *By Hook or by Crook* 5.11d, 100 m, OS; *No Rock Nazis* plus *The Sting* plus *Rock Lobster* 5.11c, 200 m, OS;



Adam (prowadzi) i Paweł Pustelnikowie na 28. wyciągu drogi *Freerider* na El Capitanie. Fot. M. Szafnicki

- Kolejny megaklaszyk, znany chyba wszystkim polskim bywalcom Yosemite: *Blues Riff* na Phobos Deimos Cliff 5.11b, 100 m, OS;

- *Lucky Streaks* na Fairview Dome 5.10d, 250 m, OS.

Przenieśmy się z tym zespołem z powrotem do Doliny. Na pierwszy ogień idzie droga *The Regular North Face Route* na The Rostrum 5.11c (8 wyciągów). Styl przejścia to OS/Flash i jest to prawdopodobnie pierwsze polskie przejście tej drogi w tak dobrym stylu. Droga ta, z czego należy się bardzo cieszyć, będzie dość popularna w tym roku wśród polskich wspinaczy. W swój pierwszy dzień pobytu w Dolinie, wykorzystując rozwspinięcie wyniesione z Kanady, *The Regular North Face Route* pokonuje także zespół Wawa Zakrzewski, Filip Zagórski i niżej podpisany. Styl naszego przejścia to również OS/Flash, a czas – 6 godz. Ostatnie polskie przejście tej drogi należy do rewelacyjnie wspinającej się w tym roku Marty Czajkowskiej, której towarzyszyli David Griff i Steve Garberding. Marta nie dość, że prowadziła wszystkie wyciągi, to jeszcze pokonała drogę w stylu OS/Flash.

Następną pozycją w „kapowniku” Adama i Pawła

jest mityczna już droga *Steck - Salathé* na Sentinel Rock 5.10b, 15 wyciągów, OS. Słynąca z „przerys” i kominów droga skutecznie odstraszała dotychczas wspinaczy znad Wisły, tak więc było to pierwsze polskie przejście. Jako że chłopcy bardzo reklamowali przeciskanie się w kominach (nie jest aż tak źle, a czasami jest wręcz zabawnie), droga szybko uzyskała dwa następne polskie powtórzenia. Najpierw w czasie 7 godz. 40 minut, w stylu OS, drogę przechodzi Wawa Zakrzewski i Maciek Ciesielski, później na swoje konto zapisują ją sobie Jacek Krawczyk z Adamem Pieprzyckim, styl ich przejścia to OS/Flash.

Kolejnym „pierwszym polskim”, jakim może się pochwalić zespół Pustelników jest pierwszy polski OS na *West Face* na El Capitanie 5.11c, 19 wyciągów. Kilka dni później tę niespotykaną, jak na El Capitan, drogę (biegnie ona głównie przez przedziwne urzeźbione płyty) powtarza, niestety w RP, zmagając się z dolegliwościami żołądkowymi, zespół Zakrzewski – Ciesielski, czas tego przejścia to 9 godz.

Następną wspinaczką Adama i Pawła jest *Regular Northwest Face* 5.12b, 24 wyciągi, na chyba najładniejszej ścianie Doliny – Half Dome. Ponieważ jest to pierwsza droga „big wall” tego zespołu, nie obyła się bez przygód.

Droga pada w drugiej przymiarce, z nieplanowanym biwakiem na lekko, w stylu RP (nie znaleziono także klasycznego obejścia jednej „drabiny” nitowej, którą pokonano w stylu A0).

Głównym celem wyjazdu Pustelników miało być klasyczne pokonanie ściany El Capitana drogą, a raczej kombinacją, jaką jest *Freerider VI*, 5.12d, 36 wyciągów. Niestety, celu nie udało się w pełni zrealizować, dwa wyciągi biegnące „przerysami”, zostały przebyte w stylu A0. Reszta drogi, włącznie z najtrudniejszym pasażem, wycenianym na 5.12d, została pokonana klasycznie w stylu RP. Czas tego pierwszego polskiego przejścia to 4 dni.

Ostatnią wspinaczką tego zespołu było przejście drogi *Astroman* na Washington Column 5.11c, 12 wyciągów. Styl tego przejścia to RP i jest to pierwsze polskie, w pełni klasyczne, przejście tego słynnego yosemickiego klasyku. Tę przepiękną drogę pokonała także Marta Czajkowska w towarzystwie David’a Griffa (RP).

Poza tym wspinano się dużo na łatwiejszych, ale także wymagających dla nas drogach. I tak megaklaszyk Doliny, jakim jest *Serenity Crack* na Arch Wall Area 5.10d plus *Son of Yesterday* 5.10a, 8 wyciągów, w stylu OS pokonał zespół Adam Pieprzycki,

Franek Zakrzewski i Filip Zagórski. Adam z Frankiem związali się liną jeszcze dwa razy. Ich kolejne wspinaczki, to *East Buttress* na Middle Cathedral 5.10c, 11 wyciągów, OS, oraz *East Buttress* na El Capitanie 5.10b, 13 wyciągów, OS. Tę ostatnią drogę pokonał także Filip Zagórski w towarzystwie Hiszpana Pedra. Natomiast Adam Pieprzycy z Jackiem Krawczykiem oraz Filip Zagórski z Frankiem Zakrzewskim pokonali *Northeast Buttress* na Higher Cathedral 5.9, 11 wyciągów, OS. Niska wycena tej drogi wprowadziła już niejednego wspinacza w błąd. Podobnie jak na *Steck – Salathé* można tu docenić umiejętność wspinaczki w „przerysach”.

„Speed”

Jesienią w dziedzinie „speed climbing” działo się dużo. Przenieśmy się najpierw na Leaning Tower, na jej zachodnią ścianę. Drogę *West Face*, V, C2F, 5.7, 11 wyciągów w czasie 5 godz. i 10 minut pokonał zespół „Wawa” Zakrzewski z niżej podpisanym. Nasze przejście było prawdopodobnie drugim, a zarazem najszybszym polskim przejściem. Pod koniec swego pobytu w Dolinie tę drogę pokonała Marta Czajkowska w towarzystwie David’a Griff’a, w czasie 10 godz. Marta prowadziła połowę wyciągów, w tym najtrudniejszy piąty wyciąg. Podczas naszego przejścia korzystaliśmy z metody „short fixing”, zespół Marty asekurował się metodą tradycyjną. Drogi nie znaliśmy.

Kolejnym szybkim przejściem było pokonanie przez nasz zespół (Zakrzewski-Ciesielski) drogi *The Nose* VI., 5.9, C2, 31 wyciągów na El Capitanie. Osobiście jest to dla mnie jedna z najważniejszych wspinaczek w życiu, zrealizowanie wieloletniego marzenia. Wspinaczka zajęła nam 10 godz. i 20 minut. Korzystaliśmy z metody „short fixing”, wspinaliśmy się zupełnie na lekko. Drogę częściowo znaliśmy – „Wawa” robił ją w 2002 roku. Ja znałem kilka wyciągów z przejścia „*Central Scrutinizer*”. Przeszliśmy również pierwsze 17 wyciągów na kilka dni przed ostatecznym przejściem.

„Big Wall”

Oczywiście wspinano się też na drogach pod znakami „ławy i trzęsiony”, w końcu Dolina to „Mekka” miłośników „hakowy”. Swoją pierwszą tego typu drogę zapisała na swoje konto wspomniana już wyżej Marta Czajkowska, która wraz z David’em Griff’em, pokonała w 5 dni (wcześniej 2 dni poręczowania), drogę *Tangerine Trip* VI.C3F.5.7, 18 wyciągów. Marta prowadziła po-

łowę drogi. Droga ta nie miała dotychczas polskiego przejścia.

Drugim tegorocznym polskim przedsięwzięciem „big wall’owym” było przejście drogi *Iron Hawk* na El Capitanie VI, 5.9+R, A4, 26 wyciągów. Najpierw pierwsze 5 wyciągów, w towarzystwie wspomnianego już wyżej przyjaciela polskiej ekipy Hiszpana Pedra, zaporęczał Marcin Butkiewicz. Marcin na co dzień mieszka w Chicago, tam poznał się z Jackiem Czyżem, postanowili razem uderzyć na *Iron*. Niestety, Jacek musiał opóźnić z powodu choroby swój przyjazd do Doliny, stąd wspinaczka Marcina na pierwszych wyciągach w towarzystwie Pedra. Pod koniec września udaje się w końcu chłopakom razem wbić w ścianę, jednak po 3 dniach, z powodu fatalnej pogody i wolnego tempa zjeżdżają z 10. stanowiska, zostawiając liny poręczowe. „Na ziemi” okazuje się że Marcin musi wracać do domu. Jacek znajduje partnera w Erolu Altay’u (dwa miesiące wcześniej, w Squamish poznała go działająca w Kanadzie polska ekipa). Na dokończenie drogi zespół ten potrzebuje kolejnych ośmiu dni. To wolne tempo spowodowane jest fatalną pogodą, jak i „dziwnym” przebiegiem drogi, na który składają się głównie skomplikowane trawersy. Jacek określił drogę jako średnio trudną, większość wyciągów poprowadzono w stylu „clean”, w tym dwa najtrudniejsze A4, które zostały przebyte za C3+. Z innych ciekawostek należy dodać, iż było to pierwsze polskie tej drogi, a dla Jacka dziewiętnaste (!) przejście ściany El Capitana, natomiast średnia wieku ich zespołu przekraczała 50 lat – nic, tylko pozazdrościć sprężu:-).

Powyższe zestawienie nie jest kompletną listą polskich dokonań w Dolinie Yosemite, starałem się uwzględnić tylko te ciekawsze i bardziej interesujące, istnieje też możliwość, że przeoczyłem jakieś istotne przejście, za co, jeśli do czegoś takiego doszło, serdecznie przepraszam.

Na zakończenie, w imieniu swoim oraz większości autorów powyższych przejść chciałbym podziękować PZA – za wsparcie finansowe, bez którego nasza działalność byłaby praktycznie niemożliwa.

Ze swej strony dziękuję również UKA, oraz firmom: Montano www.montano.pl, Hannah www.hannah.pl, Roberts www.roberts.pl i Vasque www.vasqu.pl. Wszystkim za trwającą już kilka lat współpracę serdecznie dziękuję!

Chciałbym też podziękować Jackowi Krawczykowi, Marcie „Młodej” Czajkowskiej i Davidowi Griff’owi – bez ich pomocy nasza logistyka by nie istniała.

Yosemite 2005

Adam Pieprzycki

Dolina – ktoś o niej nie słyszał. Było to jedno z moich wspinaczkowych marzeń. Marzeń które w końcu się zrealizowało. Przygotowania do wyjazdu, odbywane w mokrych Tatrach, trochę to zadanie utrudniały, ale co tam – wspin w Taterkach to osobna konkurencja. Nie wyleczony łokieć też nie stanął na przeszkodzie. Lot samolotem i Stany, Kalifornia – San Francisco. Nowe miejsce, dziwny świat. Ludzie jacyś inni – częściej uśmiechnięci – ale czy naprawdę?

Pobyt u Jacka we Fremont szybko minał, wyjazd do doliny, suchy i mocno pofałdowany krajobraz (te trzęsienia ziemi?) i w końcu park Yosemite. Piękny krajobraz, wypolerowane płyty i rysy, rysy i jeszcze raz rysy – coś za dziwny pionowy świat..., okraszony niezliczoną ilością bulderów...

Ponoć Yosemite to wspinanie hakowe. Nic bardziej błędnego. Hakówki to może i są na El Capie i Half Domie (i na jeszcze kilku innych ścianach), jednak większość dróg to wspinanie klasyczne – ale za to jak wymagające... Niektórzy narzekają że to nie góry – no bo wysokości tylko „tatrzańskie”, ładna pogoda – średnio tylko 2 dni deszczu we wrześniu – ale gdy załamanie pogody już przyjdzie, to góry wszędzie są groźne. Niby ludzi dużo, ale za mnie nikt nie będzie się wspiął. Ludzie, samochody itd. Niknie to wszystko gdzieś, staje się nieistotne i odległe, gdy staje się pod drogą... Pomimo tego „miejskiego” otoczenia w ścianie i tak jesteś sam – sam na sam z trudnościami.

Mimo wszystko: ludzi, rangersów, i tak pozostaje to miejsce „cudowne”. Cudowne i przepiękne, miejsce do którego ciągnie – jak nieznośna i uporczywa myśl. Inne cele nie mogą całkowicie wyrzucić tej choroby. Choroby umysłu, której na imię: Yosemite.

Co charakteryzuje pobyt i wspinanie w Dolinie? Jak opisać spędzanie czasu w Dolinie?

- rysy które kochasz, boisz się, kłniesz iw końcu jakoś się tam klinujesz...

- dzikie zwierzęta, które nie są już dzikie, a niektóre gdy tylko mogą, ukradną ci jedzenie (bywają: jelenie, wiewiórki, szopy, kruki, niedźwiedzie, kojoty... i co tam sobie wymyślisz), schizofreniczny nastrój wprowadzają tylko grzechoty-

niki czające się ponoć nad rzeką...

- międzynarodowa ekipa na Camp Four, która ma podobne do Ciebie podejście do życia – wspinanie.

- patenty na kawę, kapanie, gaz, telefony, Internet, pizza i inne rzeczy które możesz otrzymać taniej lub bez opłat...

- poranny i wieczorny chłodek, pomimo że to jest Kalifornia – wart mieć puchówkę...

- zabawa z Rangersami (połączenie filanca ze strażnikiem Texasu, którzy działają na prawach federalnych a nie stanowych) – na Camp Four można przebywać w sezonie 7 dni.

- niepoliczalnie dużo czasu spędzonego w sklepie wspinaczkowym na oglądaniu najnowszego sprzętu, gazet, przewodników itd.

- buldery z najsłynniejszym *Midnight Lighting* na wyciągnięcie ręki...

- sklepy, gdzie większość kosztuje 10, 20 lub więcej baksów...

Na dodatek USA to dziwny kraj, w którym latają bankrutujące linie lotnicze, jakby to było normalne...

W trakcie organizacji wyjazdu zrezygnowało z niego kilku moich znajomych (Andrzej, Tadek, Kuba), więc ostatecznie pojechałem sam. Co prawda umówiłem się z Jackiem, ale on mógł wspiąć się tylko w weekendy. Chciałem podziękować Jackowi, Filipowi, Frankowi i innym, z którymi mogłem się wspiąć. Pomimo rodaków w Dolinie czułem się jakoś dziwnie i ...samotnie. Podczas wspinaczki z Rokiem (tym razem ze Słowenii) uzgodniliśmy, że może jednak uda się za rok pojechać, tyle że tym razem pod Trango, w tym samym czasie...może wspólnie?

Wypełniając gwoździściło rozliczenie z PZA, to dane mi było wspiąć się kilkoma drogami w towarzystwie paru osób (droga, styl, z kim, data):

- Fairview Dome *Regular Route* 5.9 OS, Jacek Krawczyk, 4 wrzesień 2005;

- Polly Dome *Hoodwink* 5.10a OS, Jacek Krawczyk 5 wrzesień 2005 (3 września zrobiliśmy po przyjeździe 2 wyciągi);

- Drug Dome *Oz* 5.10d OS, Jacek Krawczyk, 5 wrzesień;

- El Cap base *Nutcracker* 5.9 OS, Jeff, 8 wrzesień;



El Capitan przed burzą.

Fot. A. Pieprzycki

- Arch Wall Area *Serenity Crack* 5.10d + *Day Son of Yesterday* OS, Franek Zakrzewski i Filip Zarzycki, 12 września;

- Middle Cathedral *East Buttress* 5.10c, OS Franek Zakrzewski, 14 września;

- Arch Rock *British Breakfast* 5.10c 1xAF; Jacek Krawczyk, 17 września;

- Arch Rock *New Dimensions* 5.11b wiele A0, Jacek Krawczyk, 17 września;

- Sentinel Rock *Steck-Salathe* 5.10b FL/OS, Jacek Krawczyk, 18 września;

- El Capitan *East Buttress* 5.10b, Franek Zakrzewski, 24 września;

- Higher Cathedral *Northeast Buttress* 5.9 OS, Jacek Krawczyk, 25 września;

Oprócz tego próbowałem przejść drogi:

- Elephant Rock *Hot Line* 5.12b, Maciek Ciesielski, Wawrzyniec Zakrzewski, 14 września (za trudna była);

- Rostrum *Regular Route* z Rokiem (Słownia), 22 września, 4 wyciągi (zakorkowana);

- El Capitan *Free Blast*, z Jackiem Krawczykiem, 20 września (padało);

- Higher Cathedral *The Crucifix*, z Jackiem Krawczykiem, 25 września (za trudna była).

Najbardziej podobały mi się *Steck-Salathe* na Sentinel Rock – wiele ryso-kominów z klaustrofobicznymi *Narrowsami* czy *Northeast Buttress* na Higher Cathedral, gdzie na 5.9 nie myślisz i delektujesz się faktem, że dobrze i ładnie się wspinasz – jak to mi objaśnił Wawa. Aby nie zapomnieć, że jesteśmy w górach (Sierra Nevada), ostatnie dwa dni do załamanie pogody i zlewa... Wiadomo z historii i to nieodległej, że czasami takie załamanie na El Capie kończy się niedobrze...

Podziękowania za to, że mógł się spełnić mój „Sen o Dolinie”, może nie taki jak wcześniej go sobie wyśniłem, no ale zawsze to SEN:

Jackowi za gościnę i wspinięcie, Jacy i Januszowi oraz firmom Lhotse, Milo, Lanex (Fatra), Montano za sprzęt

Jeszcze raz dzięki...

Oraz oczywiście PZA i mojemu ulubionemu bankowi który skredytował to wszystko – w rozłożeniu na kilka lat oczywiście :).



Autor na *Serenity Crack*.

Arch. A. Pieprzycki

Lody – made in Kalifornia

Tomasz Bender



Autor wspina się w Lee Vining Canyon zimą 2003.

Muszę przyznać, że to osobliwe zjawisko, biorąc pod uwagę szerokość geograficzną północnej Kalifornii odpowiadającą Sycylii. Możemy mówić tu o dwóch rodzajach wspinania. Po pierwsze, Sierra Nevada w swoich czterotysięcznych partiach oferuje na wystawach wschodnich i północnych szeroką gamę lodowych kulaarów średniej trudności (III-V) do 400 m długości. Nadają się one do wspinania od kwietnia do listopada. Po drugie, w miesiącach zimowych inwersje temperatury powodują formowanie się krótkich jedno – dwu wyciągowych nitek lodowych w niższych partiach tych samych gór. Przy czym w drugim wypadku, w niektórych rejonach jak Yosemite Valley czy region Lake Tahoe, mamy do czynienia z efemerydami pojawiającymi się średnio co 5 lat, w zależności od korzystnych w danym sezonie temperatur w połączeniu z odpowiednią ilością opadów śniegu poprzedzającej zimy. Postępujące od lat globalne ocieplenie wpływa korzystnie na

warunki lodowe jednego roku aby drugiego – totalnie sfrustrować napalonych amatorów „dziabkowania”.

Przeciętny tutejszy wspinacz lodowy maniakalnie śledzi w internecie prognozy pogody, jak i bieżące raporty innych maniaków z ostatnich wizyt w górach. Jeśli sprawy mają się dobrze, natychmiast odpala swój wygodny czteronapedowiec, by zdążyć zanim cały biznes szlag trafi, to znaczy – lód zwali się do podstawy ściany.

Tą metodą udało się pokonać w latach 70-tych nitki lodowe w **Yosemite Valley**:

Widow's Tears (300 m, WI5), *Silver Strand* (175 m, WI5) – widoczny z tunelu Wawona, formuje się znacznie częściej od pierwszego,

Upper Sentinel Fall (300 m WI5+) – to jest cacko na prawo od Sentinel Rock, widziałem w 2003 na własne oczy – piękna, pionowa, wąska nitka, znikająca gdzieś w górnych partiach doliny,

Spinal Tap (200 m, WI5/6).

Generalnie trzeba tu wziąć pod uwagę, że lód w nisko położonej dolinie Yosemite bywa kruchy, odcinkami jest to „verglas”, słabo związany z litym podłożem granitowym, poprzecinany solidniejszymi masami grubego lodu. Niektóre z w/w dróg ze zrozumiałych względów, widziały tylko jedno przejście.

Na wschodzie **Tuolomne Meadows** (północna, wyższa część Yosemite), legenda głosi, że w kanionie rzeki Lee Vining, krnąbrny amator wspinaczki lodowej przy użyciu wiertarki Bosch'a sperforsował przebiegającą wzdłuż skalnego klifu



Lewy kulaar na North Peak koło Tuolomne Meadows.

Fot. T. Bender

nieczynną rurę wodną, która kiedyś zasilała pobliską elektrownię. Efektem jest formująca się niezmiennie co roku 200 m szerokości ściana lodowa, do 2 wyciągów długości. Jest to najbardziej popularne miejsce wspinaczki lodowej w całym stanie Kalifornia, zapewniające drogi w skali III-V. Niestety rejon ten, ze względu na swoje walory szkoleniowe, jest oblegany przez różnego rodzaju kursy, kongregacje starych kawalerów, etc... co naraża resztę na spadające odłamki lodu, a lód generalnie jest mocno przechodzony. W stopniu mniejszym, dotyczy to też trudniejszych partii. Ot, takie Rzędkowice u szczytu sezonu. Ma to oczywiście wybitne walory towarzyskie, tak że nie pozostaje nic innego jak po zakończeniu dziennej porcji wspinania udać się do sklepiku w pobliskim Lee Vining i nabyć całkiem dobre wino kalifornijskie, co by je spożyć w sympatycznej kompanii.

Okolice **Lake Tahoe** (Mike Carville: „Climber's Guide to Tahoe rock”).

Start z Donner Summit, Cold Canyon wycieńcza 2-3 godzinnym dojściem przy użyciu rakiet śnieżnych lub nart z fokami, ale zaprasza na 1-2 wyciągowe lodospady (6 dróg) w odludnym otoczeniu. Lovers Leap, położone nieopodal drogi #50, doprowadzającej do kasyn gry w South Lake Tahoe, kusi widoczną z drogi nitką lodu *Eyore's Fantasy* (4 wyciągi IV+R) i jeżeli nie jest to tylko fatamorgana, można się nieźle zabawić, z drytoolingiem włącznie na 1 wyciągu, dalej wbijamy się w głęboki komin-tunel, zalany grubym lodem. W pewnym sensie przypomina to trochę warunki tatrzańskie, bo latem jest to jeden podmokły, trawiasty „murch”.

Inne ciekawe miejsce znajduje się w **Sequoia National Park** – *North Gully of the Watchtower* (6 wyciągów WI 5) wraz ze znajdującymi się w pobliżu, jednowyciągowymi lodospadami. Dojazd z Fresno 2 godz. na wschód, drogą #180 („King's Canyon/Sequoia guidebook”, sekcja Tokopah Falls).

Natomiast moją nieustającą fascynacją ostatnich lat jest **High Sierra Nevada** ze swoimi, wprawdzie nie ekstremalnymi, ale wymagającymi wzmoczonej koncentracji kuluarami. Najlepiej jest tu uderzać późnym latem i jesienią do końca listopada, kiedy wiosenno-letni śnieg o konsystencji styropianu, w wyniku inwersji temperatur, zamienia się w niebieski, wodny lód. Nie będę wymieniał wszystkich możliwości, a jest ich kilkanaście. Do najciekawszych należy zaliczyć północną ścianę Mount Mendel z 2 drogami (350-400 m, V i V+), na których

Yvon Chouinard testował w połowie lat 60-tych swoje rewolucyjne rozwiązania dziabkowe. Tak wspominał swoje pierwsze, naiwne doświadczenia („Climbing Ice”):

„...czekan wygląda OK, ale igła lodowa, którą używam jako druga dziabkę, jest do niczego. Utknąłem po 20 metrach w miejscu, gdzie lód spiętrza się do 60°. Czekan ledwo siada, bo nie mogę porządnie się zamachnąć. Było tak stromo, że nie mogłem zachować równowagi, nie ufając temu nieszczęsnemu hakowi. Poczulem, że lekkim dotknięciem słomki zostałem stąd strącony”.

Po tym wszystkim wrócił i pokonał w całości drogę używając zaprojektowanego przez siebie nowego czekanomłotka. Jego projekt stopniowo ewoluował w kierunku tego, co w latach 70 i 80 nazywaliśmy „szakalami”, „kolibrami” etc....

Pod tą ścianą stanąłem samotnie późną jesienią 2003 r. W porannej poświacie kuluar prezentował się okazale. Wylany od brzegu do brzegu mięsistym, wodnym lodem, stromym na początku, później stopniowo „wyluzowywał” do ok. 55-60°. Wycof nieestety nastąpił na 10 metrze, moje blisko 25-letnie skorupy koflachów po prostu rozpadły się w „przedbiegach”, prawdopodobnie w trakcie podejścia. Całe szczęście zauważyłem to, w porę unikając mrozącej krew, skomplikowanej ekwilibristyki z odpadającymi wraz z rakami, podszewami obu butów.

Krótsze, łatwiejsze drogi znajdują się na północnych ścianach Mt. Gilbert (300 m, VI+), Mt. Thompson (2 kuluary po 250m, IV). Mt. Emerson i The Palisades oferują dwie 200-metrowe drogi (III-IV) zwane *V* i *U notch*.

Zainteresowanych pełnym wykazem możliwości lodowych w High Sierra odsyłam do John Moynier/Claude Fiddler: „Climbing California's High Sierra”, lub uzyskania informacji wystukując w przeglądarce hasło „ice climbing high sierra”, etc....znajdzie się tam wiele informacji, raportów z dokonanych wspinaczek.

Sierra Nevada są górami mocno zerodowanymi, należy bezwzględnie używać kasków i przed wejściem w drogę upewnić się, co do korzystnych temperatur, jak i uważnie zlustrować pole lodowe u podstawy ściany, zwracając uwagę na ew. ślady po lawinach kamiennych. Poza 5-6 śrubami lodowymi, przydaje się komplet stoperów jak i zestaw friendów/camelotów (asekuracja ze skały możliwa).

Niestety amerykańskie przewodniki dają bardzo skąpą informację o zejściach, tak że na miejscu dobrze jest się doinformować u lokalnych wspinaczy. W zejściu z Mt. Thompson

nadrobiliśmy z partnerem prawie 30 km, z dwoma 600 m przewyższeniami, a miało być „graniami do szczytu, za niewybitnym filarkiem po prawej, krotki zjazd, skąd łagodnym stokiem do parkingu”. Po prostu opowiadka ta nie miała pokrycia lub też „niewybitny filarek” razem ze stanowiskiem zjazdowym zamienił się w piarg...

Warto tutaj dodać, że mimo konieczności pokonywania znacznych odległości, zarówno na podejściu jak i w zejściach, nie czyhają na nas istotne zagrożenia typu szczeliny, lawiny etc. Rejony wspinaczkowe od wschodniej strony, bo o tych tu mowa, leżą w tzw. „strefie cienia”. Oznacza to, że masy wilgotnego powietrza, nadciągającego znad Pacyfiku, zatrzymują się po zachodniej stronie gór. W połączeniu z gorącym klimatem znajdujących się po przeciwległej stronie pustyń Nevady, zapewnia to względnie suche warunki pogodowe. Lodowczyki są małe i poza szczelinami brzeżnymi, nie występują tu poważniejsze przeszkody.

Przydatne informacje:

W High Sierra startuje się zwykle z miasteczka Bishop położonego na południe od Yosemite przy drodze #395. Znajduje się tam Ranger Station, gdzie można uzyskać wszelkie porady, jak i otrzy-

mać darmowe pozwolenie na biwakowanie w górach.

Bardziej fachowe porady możliwe są w lokalnym Sierra Guiding Center, nieopodal stacji rangersów. Dojazd z Yosemite do Bishop zajmuje ok. 2 godz., skąd następne 0,5 godz. do parkingu u wylotu doliny. Podejścia pod drogi w granicach 3-8 godzin.

W Bishop markety, pralnie, motele etc., kilkanaście gorących źródeł w zasięgu 10 km na północ od miasta (przy niektórych można biwakować – raj na ziemi!). Poza tym, w pobliżu znajdują się słynne bulderingowe Buttermilks oraz świetna do wspinaczki sportowej Owens River Gorge.

Jeśli chodzi o Lee Vining zimą, jest to miejsce dość oddalone od miejskich aglomeracji – większość dróg przez Sierra zimą jest zamknięta a objazdy są czasochłonne. Z San Francisco dojazd zajmuje 7 godz. Spanie albo w motelu (70 \$/noc, za pokój z podwójnym łóżkiem, im więcej osób tym taniej), lub namiot/samochód w dolince Lee Vining – zaliczyłem to, było całkiem fajnie (niezbędna herbatka goprowska i dużo odzieży na zmianę). W restauracji „Nicely’s”, poza rybą, reszta menu „wkaszalna”.

Kalifornijskie lody czekają. Niektóre z wymienionych rejonów zaliczyłem i służę poradą: tomekb@sbcglobal.net

W górach Boliwii – Cordillera Real

Krystyna Konopka i Andrzej Sławiński

W czerwcu 2005 r. wylądowaliśmy na międzynarodowym lotnisku w El Alto (4082 m) na przedmieściach La Paz w Boliwii. La Paz, stolica administracyjna i największe miasto Boliwii (1 115 000 mieszkańców), stanowi centrum finansowe, handlowe i przemysłowe kraju. Konstytucyjną stolicą Boliwii jest Sucre, ale w La Paz znajdują się siedziby prezydenta i rządu. Hiszpański jest językiem urzędowym, niemniej jednak ponad połowa ludności posiada indiańskie korzenie i posługuje się językiem Keczua lub Ajmara. Centrum La Paz leży na wysokości 3660 m, a ponad horyzontem górują Illimani (6439 m) i Huayana Potosi (6088 m). Na północ od La Paz rozciąga się Cordillera Real, oddzielając pogórze Yungas od płaskowyżu Altiplano. Sezon turystyczny i wspinaczkowy to sucha pora zimowa (maj – wrzesień); najbardziej stabilną pogodę oferuje czerwiec, lipiec i sierpień; jest wtedy chłodno ale słonecznie. Najlepsze warunki śnieżno-lodowe są na począt-

ku sezonu, w maju i czerwcu.

W Boliwii znajdują się cztery główne pasma/grupy górskie, z których trzy – Cordillera Real, Cordillera Apolobamba i Cordillera Quimsa Cruz, tworzą tzw. Cordillera Oriental (Wschodnia). Zachodnie pasmo, Cordillera Occidental, które leży na pograniczu Boliwii i Chile, różni się charakterem od Cordillera Oriental.

Cordillera Occidental jest w przeważającej części wulkaniczna i tworzy ją ciąg wulkanicznych stożków, wyrastających z płaskowyżu Altiplano. Wulkanizm w tym regionie jest młodo-trzeciorzędowy (mioceniński) i pomimo, że wulkany są sklasyfikowane jako nieczynne, bardzo aktywna jest działalność post-wulkaniczna: często można napotkać gorące źródła lub wyziewy gazów. W Cordillera Occidental znajduje się najwyższy szczyt Boliwii, Sajama (6549 m), który ze względu na swoją wysokość stanowi często cel wypraw. Poza Sajama jest tam kilka innych szczytów prze-



Autorzy (po bokach) w towarzystwie przewodnika Ivana i kucharki Yolandy. Arch. A. Sławiński

kraczących 6000 m, ale są one rzadko odwiedzane i nie cieszą się popularnością wśród alpinistów. Sajama jest zasadniczo łatwą górą; ma tak rozległy wierzchołek, że 2 sierpnia 2001 r. rozegrano tam mecz piłki nożnej pomiędzy Klubem Sajama i reprezentacją przewodników z La Paz. Mecz trwał dwa razy po 20 minut i zakończył się wynikiem remisowym 3:3. Barwny opis tego wydarzenia ilustrowany ciekawymi zdjęciami można znaleźć na stronie internetowej: www.geocities.com/zubetaippa/sajamasoccer.html.

Wejścia na Sajama nie należy jednak lekceważyć: zła pogoda, silne wiatry a na dodatek krucha skała, mogą spowodować problemy. Podczas drugiego (niekwestionowanego) wejścia w 1946 r., jeden z uczestników odłączył się na szczytowym plateau od towarzyszy i jego ciało nigdy nie zostało znalezione, a w sezonie 2004 jedyny śmiertelny wypadek w górach Boliwii zdarzył się właśnie na Sajama.

Głównym rejonem przyciągającym wspinaczy jest Cordillera Real. Pasma to rozciąga się na długości ok. 160 km; na jego północnym krańcu wznoszą się sześciotysięczniki Ancohuma (6427 m) i Illampu (6368 m), a na południowym Illimani (6439 m). Nieco bardziej na północ od Illimani wznosi się Huayana Potosi (6088 m). Te dominujące szczyty zbudowane są z odpornych na wietrzenie granitów lub granodiorytów. Poza sześciotysięcznikami, w Cordillera Real znajduje się cały szereg wierzchołków przekraczających 5000 m, które stanowią atrakcyjne tereny wspinaczkowe.

Należy do nich między innymi rejon Condoriri ze szczytami i drogami o charakterze śnieżno-lodowym i mikstowym (wierzchołki od 5200 do 5600 m). Istniejące przewodniki wspinaczkowe nie są dokładne i nowe przejścia zasadniczo nie są opisane. Mimo dość ożywionej działalności wspinaczkowej, ciągle istnieją ogromne możliwości poprowadzenia nowych, trudnych technicznie lodowych lub mikstowych dróg, na wysokościach przekraczających 5000 m. Warunki śnieżno-lodowe są najlepsze na początku sezonu (maj - czerwiec); później suchy klimat powoduje, że śnieg lodowacieje, często tworząc tzw. nieves penitentes (śniegi pokutujące), co zdecydowanie utrudnia poruszanie się na stromych stokach. Ostatnie kilka lat były wyjątkowo suche nawet w okresie boliwijskiego lata, czyli w czasie europejskiej zimy, co spowodowało, że drogi mikstowe były „gole”, a zagrożenie lawinami kamieni i seraków znacznie wzrosło. Niemniej jednak, w Cordillera Real poprowadzonych zostało wiele nowych modernistycznych dróg, obejmujących problemy lodowe skalne i mikstowe. Działalność alpinistyczna w Boliwii tradycyjnie prowadzi wspinacze z Europy i Ameryki Północnej a także z Japonii i Nowej Zelandii. Alpinizm, a właściwie andynizm boliwijski ma skromne osiągnięcia; założony w r. 1939 Club Andino Boliviano, w pierwszym okresie swojego istnienia zdawał się przełamywać impas, ale dni świetności dawno minęły. Dzisiaj siedziba klubu zostawia wrażenie nostalgicznego smutku i wydaje się dokładnym odbiciem rzeczywistości.

Cordillera Apalobamba jest niższa – najwyższy szczyt to Chaupi Orco (6044 m). Geologicznie stanowi ona przedłużenie Cordillera Real. Działalność wspinaczkowa rozpoczęła się tu w



Grupa Condoriri. Ala Izquierda i Cabeza del Condor. Fot. A. Sławiński



Mapka ogólna gór Boliwii

późnych latach pięćdziesiątych i w dalszym ciągu rejon ten jest stosunkowo rzadko odwiedzany. Wymaga on dłuższego dojazdu z La Paz, a brak map i przewodników powoduje, że Cordillera Apolobamba odstrasza wielu potencjalnych amatorów wspinaczki. Niemniej jednak notuje się tam ostatnio większy ruch turystyczno-wspinaczkowy. Pionierem i jednym z najbardziej efektywnych alpinistów w Apolobamba (i nie tylko w Apolobamba) jest Alain Mesili, Francuz mieszkający na stałe w La Paz – barwna ale na wielu płaszczyznach kontrowersyjna postać.

Cordillera Quimsa Cruz rozciąga się na długość około 50 km (coś w rodzaju Tatry!). Wierchołki Cordillera Quimsa Cruz nie przekraczają 6000 m, ale ponieważ całe pasmo zbudowane jest z odpornych na wietrzenie granitów i granodiorytów, rejon ten oferuje ogromną różnorodność ciekawych dróg skalnych, które zgrupowane są głównie w północnej części masywu, podczas gdy południowa część jest bardziej śnieżno-lodowa. Natomiast w dolinach można znaleźć niezwykle atrakcyjne rejonu bulderingowe. Cordillera Quimsa Cruz była do niedawna najmniej popularnym celem działalności alpinistycznej, tak że dokumentacja wejść, mapy, wysokości czy też nazewnictwo są bardzo nieprecyzyjne, często

sprzeczne i mylące. Niemniej jednak, ostatnie sprawozdania z działalności górskiej, ukazujące się głównie w *American Alpine Journal* powodują, że atrakcyjność Cordillera Q-C zostaje doceniana i notuje się tam coraz większą aktywność wspinaczkową. Np. w 2001 r. Bruce Hendricks i Andy Selters poprowadzili drogę na pd.-zach. ścianie Gigante Grande (5748 m), którą nazwali *Via Loco*. Droga ta była wówczas oceniona jako być może najtrudniejsza technicznie w górach Boliwii. Więcej informacji można znaleźć w *American Alpine Journal*, tom 43 (2001) na stronach 286-291 (www.americanalpineclub.org/knowledge/aaj.asp).

Powracając do naszego pobytu w Boliwii, to planowaliśmy 5-dniowy trek w rejonie Condoriri oraz wejście na Huayana Potosi (6088 m). Korzystaliśmy z usług agencji, tak że wszystko było zorganizowane „na medal”. Trek o łącznej długości około 40 km rozpoczęliśmy w wiosce Hichukota położonej nad jeziorem Lago Khotia (4460 m). Dojazd z La Paz zajmuje ok. 3 godzin, na ogół samochodem z napędem na cztery koła (4x4). Na treku bagaże niosą konie, muły, osły albo lamy. Nasz zespół miał do dyspozycji konie i muły prowadzone przez dwóch mulników „muleiros”. Przewodnik Yvan mówił świetnie po angielsku, a kucharka Yolanda karmiła nas znakomicie. Po przejściu przez przełęcz (4700 m), zeszliśmy do doliny Contador (4500 m) i podeszliśmy nad małe jezioro Laguna Ajwani (ok. 4600 m). Drugiego dnia – wejście na przełęcz (4850 m), zejście do doliny Lago Sistana (4620 m), kolejna przełęcz (4900 m) i zejście nad Laguna Juri Khota (4660 m). Z namiotu roztaczał się wspaniały widok na jezioro i lodowcowe góry, Cabeza del Condor (5648 m) i Ala Izquierda (5532 m). Rano ruszyliśmy północno-zachodnim brzegiem jeziora, potem moreną do stóp lodowca a następnie stromo skałkami na piarżyste stoki i na przełęcz (5100 m) w pobliżu Pico Austria (ok. 5200 m), który stanowi cel aklimatyzacyjny wielu trekkerów. Z przełęczy zeszliśmy nad Laguna Chiar Khotia do tzw. Condoriri Base Camp (ok. 4600 m), miejsca które stanowi dogodną bazę do wspinaczek w grupie Condoriri. Czwartego dnia, po przejściu przez dwie wysokie przełęcze, (w przewodniku podane 5200 m, w rzeczywistości ok. 4900 m), ścieżka prowadziła do długiej i malowniczej doliny Livinosa, nad jezioro Lago Livinosa (4300 m). Ostatniego dnia zeszliśmy do małej osady i elektrowni wodnej Chacapampa (ok. 3800 m). Skończył się świat skał, kamieni i suchej trawy, pojawiły się krzaki, kwiaty i pojedyn-



Drogi na Huayana Potosi.

Fot. i topo: A. Sławiński

cze drzewa; czekał tam na nas samochód, którym wróciliśmy do La Paz. Prowadzeni przez Ivana i Yolande, w słonecznej ale chłodnej pogodzie, szliśmy przez pięć dni oglądając lodowce, góry i jeziora, pasące się lamy, krowy i owce, chowające się pod głazami „viscachia” oraz latające nad nami kondory, orły i sokoły. Mamy wrażenie, że bez pomocy naszych przewodników, moglibyśmy tam wędrować do dnia dzisiejszego. Nie ma ani porządnych map ani dokładnych przewodników trekkingowych, w wielu miejscach ścieżki, które wydawały się dla nas „oczywiste” były wydeptane przez pasące się zwierzęta, a szlak prowadził wprost po zboczu bez żadnych wskazówek, że idziemy we właściwym kierunku. Trzeba było to po prostu wiedzieć, a wtedy wszystko stawało się nagle jasne i logiczne.

Po dwudniowym odpoczynku w La Paz ruszyliśmy na Huayana Potosi, który położony jest w Cordillera Real nieco na północ od La Paz. Po raz pierwszy na wierzchołku Huayana Potosi stanęli wspinacze niemieccy Rudolf Dienst i Adolf Schultze w r. 1919. Dojazd na Zongo Pass (4700 m) trwa około 2 godz. (polecamy 4x4). Szlak, tym razem bardzo wyraźny, prowadzi poprzez moreny a potem wzdłuż wybitnego morenowego grzbietu do stromych, piarżystych stoków, które wyprowadzają na skalne żebro z platformami biwakowymi na ok. 5100 m (Campamento Alto). Dalej wzdłuż żebra dochodzi się do czoła lodowca (ok. 5200 m) i po lodowcu dobrze wydeptana ścieżka (łatwo) do plateau na 5435 m (Campamento Argentino). Biwak mieliśmy w Campamento Argentino. Czuliśmy się dobrze, mieliśmy apetyt,

ale w nocy mimo wszystko dała znać o sobie wysokość i za dużo spania nie było. Ruszyliśmy o 3.40 rano. Niestety nie udało się nam wejść na wierzchołek – zawróciliśmy z wysokości 5955 m. Gdybyśmy mieli lepszą aklimatyzację (była bez zarzutu do ok. 5300 – 5400 m, a wyżej nas przytkało), to powinniśmy zdążyć, ale transport był umówiony na wieczór, czyli trzeba było zejść ze szczytu,

zwinąć obóz i zejść kawał drogi po lodowcu nietrudnym, ale twardym jak szkło, a potem po skalnym ramieniu i morenach do samochodu. I tak, ostatnie trzy godziny schodziliśmy przy latarkach. Góra jest technicznie łatwa oprócz jednego wyciągu (odpowiednik WI3), a potem ostatnich 300 m o nachyleniu ok. 40 - 45 stopni, pokrytych wysokimi penitentami. W sumie nie są one trudne, ale przy brakach aklimatyzacyjnych bardzo wyczerpujące. Podobno ten rok był wyjątkowy, bo w letnim „mokrym” sezonie spadło bardzo mało śniegu, co spowodowało nietypowe warunki wysoko w górach. Jacyś Francuzi wycofali się z normalnej drogi na Illimani z powodu szczeliny, którą tym razem trzeba było pokonywać stosując zaawansowaną technikę lodową, itp., itd. Szczelinę brzezną na drodze normalnej na Huyana Potosi przechodziło się w tym roku przy pomocy duralowej drabiny jak na lodospadzie Khumbu, bo wszystkie mostki śnieżne nie tyle się zawałyły, co wysublimowały i były w szczątkowej postaci – użycie ich nie wchodziło w rachubę. Cóż, „szykownie” byłoby wejść na górę właśnie w takich warunkach, ale... Niemniej jednak była to bardzo wspaniała górską przygoda!

Literatura

„Trekking in Bolivia” Yossi Brain, Andrew North & Isobel Stoddart, 1997.

„Bolivia – a Climbing Guide” Yossi Brain, 1999.

„American Alpine Journal”, 2000-2005.

„Alpinist”, Nr. 12, 2005.

Cerro Torre – Compressor Route

Czekamy na pogodę. To już chyba czwarty tydzień. Razem z nami gnije w namiotach chyba jeszcze z dziesięć zespołów. Na początku, kiedy wydawałoby się mieliśmy jeszcze nieograniczone zapasy czasu, tylko patrzyliśmy jak kolejnym zespołom zbliża się czas powrotu do domu. Jak powoli z każdym odchodzącym dniem malały nadzieje, jak nerwowość wkradała się do każdego kroku, kiedy po raz tysięczny patrzyli pokonani w kierunku gór. I w końcu jak odchodzili. I teraz chyba po raz pierwszy zaczynało docierać do nas, że chyba nas czeka ten sam smutny koniec. Nic to, przynajmniej pokonała nas Cerro Torre, góra mit, klejnot Patagonii, z którą przegrywali już najlepsi. Gdyby nie została „zgwałcona” przez Maestriego, mogłaby być najtrudniejsza na świecie. Wspomniany właśnie co lunatyk, choć na szczycie Cerro nigdy nogi nie postawił, to przewiercił się w ciągu kilku lat, przez część ściany, aż w końcu dotarł dwa wyciągi poniżej szczytu. Tam, tuż pod śniegami kopuły szczytowej, jeszcze nieźle daleko od szczytu, oznajmił swojemu partnerowi że go tu nie wpuści, bo tylko on, jako oczywiście najlepszy wspinacz świata, stanie na Cerro Torre. W zjazdach ściał część ringów, które nawiercił, by się tu dostać. A co, żeby innym nie było za łatwo. Tak naprawdę, to mogliby je wszystkie wyciąć i lotem udać się do podstawy ściany. Żadnej straty by nie było. Podobno jeszcze twierdzi, że był na szczycie kilka lat wcześniej, północną ścianą. W stylu alpejskim,



Autor na Compressor Route.

Fot. M. Tomaszewski

w latach pięćdziesiątych... Atakowana przez najlepsze zespoły ściana opierała się przez ponad 40 lat. Dopiero teraz (2005) padła pod naporem najlepszych. Również dzięki szczęściu, które na Cerro jest niezbędnym elementem gry. Pomiędzy drągiem a kolejnym kartonem wina, zastanawiamy się, czy

już związać matki, czy poczekać jeszcze kilka dni. I nagle wiatr rozwiewa czarne chmury, ściana pojawia się skąpana w słońcu, błyszcząca od śniegu i lodu. Wrzucamy coś na siebie, kilka batonów, dwie butelki wody, i



Marcin Tomaszewski na piku.

Fot. K. Belczyński

biegniemy pod ścianę. To jest ten moment – teraz albo nigdy. Bez zastanowienia wbijamy się w niesławną drogę Maestriego. Cały czas się zastanawiam, czy lepiej by było gdyby jej nie było. I nadal nie wiem...

Przed nami wystartował dzień wcześniej zespół Niemców i Amerykanie. Mijamy ich w połowie ściany, jak zjeżdżają ze szczytu. Słońce świeci już kolejny dzień, wygląda ze wygraliśmy w totka! Tu w ścianie godziny lecą w zastraszającym tempie, ale my też się nie ślimaczymy. Klasyczne płyty, przegrodzone są wyłudzonymi kulaarami. Co kilka wyciągów wpadamy na następną drabinę boltów Maestriego. Pełna gama wspinaczkowa; od klasyki, poprzez mikst, aż do hakówki. O zmroku docieramy na śnieg tuż pod szczytowymi nawisami. Marcin wbija się w przewieszonoego grzyba i bez mrugnienia prowadzi na szczyt. Ale tutaj już kończy się zabawa. Pogoda gwałtownie się psuje, nadciąga huraganowy wiatr, zaczyna padać, zapada noc. Bardzo długa noc. Pokryci lodem, powoli przebijamy się ku podstawie ściany. Mija ponad 12 godzin walki zanim stajemy na lodowcu pod ścianą. Aż nie wierzę, że nam się udało. Mocny nas deszcz, człapiemy powoli w naszych styranach powłokach w kierunku koleby. Tam chyba będą jakieś suche ciuchy. I śpiwory. Tak chce się spać. Później to już tylko imprezy, dojadanie, dosypianie i co tylko dusza zapagnie. Sprzedajemy trochę dobytku, co by starczyło nam na powrót i trochę ekstra żarcia. Jesteśmy z powrotem na Ziemi. I oczywiście żeby przeżyć to brutalne spotkanie z tak nierealną i rzeczywistą codziennością, już obgadujemy następne wyprawy. I aby tylko jakoś do następnej.

Krzysztof Belczyński (Marmot Team)

Mistrzostwa i puchary

Arkadiusz Kamiński

Międzynarodowe Mistrzostwa Polski w Bulderingu

W dniach 15 i 16 października w Tarnowskiej hali wspinaczkowej klubu MKS Tarnovia rozegrano Międzynarodowe Mistrzostwa Polski w bulderingu. W jednym z najstarszych w Polsce obiektów wspinaczkowych ustawiono specjalne konstrukcje wysokich ścianek, skonstruowanych specjalnie do bulderingu. Na zawodach zjawiała się cała krajowa czołówka zawodników, nie zabrakło też gości z zagranicy. W zawodach udział wzięło 34 mężczyzn i 11 kobiet. Problemy z którymi walczyli zawodnicy układali Adam Pustelnik i Łukasz Müller. Pierwszego dnia zawodów rozegrano eliminacje, zaś drugi dzień to widowiskowe finały, z udziałem najlepszych wspinaczy. W rywalizacji pań dwie zawodniczki wyznaczały kierunek zmagania, pokazując duży dystans do siebie innym zawodniczkom. Cała walka dziewczyn rozegrała się pomiędzy Kingą Ociepką i Edytą Ropek, które w finałach na wszystkich problemach osiągnęły „topy”. Jedyne ilości prób zdecydowała o tym, że Edyta Ropek po jednym błędzie, musiała oddać zwycięstwo Kindze Ociepcie. Trzecie miejsce zajęła Agata Wiśniewska. Zmagania panów to równie widowiskowy show, w którym w roli głównej wystąpili Tomasz Oleksy i Marcin Wszolek. To oni, dzięki zaciętej walce, idąc łeb w łeb, doprowadzili do superfinału, po którym i tak były problemy z wyłonieniem zwycięzcy. Dopiero decyzja sędziego głównego Piotra Kruczka wyłoniła zwycięzcę zawodów – Tomasza Oleksego. Drugi był Marcin Wszolek, a trzeci Michaił Szałagin z Ukrainy.

Brazowy medal Pucharu Świata dla Edyty Ropek

W dniach 22 i 23 października w Szanghaju rozegrano kolejną edycję Pucharu Świata na czas i na trudność. Na zawodach nie zabrakło naszej reprezentacji. Na drugi koniec świata wybrali się Edyta Ropek i Tomasz Oleksy. Puchar Świata w Szanghaju podobnie jak w zeszłym roku zorganizowany został z wielką pompą, profesjonalne podejście organizatorów, świadczy o ich dużym zaangażowaniu w rozwój tych dyscyplin wspinaczki. Na potwierdzenie tego stwierdzenia wystarczy napisać, że finały konkurencji na czas były relacio-

nowane na żywo w publicznej telewizji. To właśnie w czasówkach startowali Edyta i Tomek, pierwszego dnia zmagania udało im się przejść przez eliminacje i dostać do ścisłego finału.

W finałowej rywalizacji Edycie Ropek udało się wywalczyć dobry wynik i wejść na podium, zajmując trzecie miejsce i zdobywając brązowy medal. Niestety Edyta w roku 2005 nie startowała we wszystkich edycjach pucharu świata i w klasyfikacji generalnej zajęła siódme miejsce. Tomek Oleksy w Szanghaju zajął czwarte miejsce, ale ten wynik oraz starty we wszystkich edycjach na czas, zapewnił mu dobrą trzecią pozycję w klasyfikacji generalnej Pucharu Świata. Czasówki wygrali: Walentina Jurina i Jewgienij Wajciechowski, oboje z Rosji.

Zawody w Chinach były ostatnimi w konkurencji czasówek, warto więc wspomnieć, że Polacy dzięki swoim startom zapewnili sobie trzecie miejsce w drużynowym rankingu, tuż za Rosją i Ukrainą, a wyprzedzając między innymi Indonezję, Czechy i Chiny.

Puchar Polski w Nowym Sączu

Ostatnia tegoroczna edycja zmagania w konkurencjach na czas i na trudność miała miejsce w hali widowiskowo-sportowej przy ulicy Nadbrzeżnej 34 w Nowym Sączu. Ta jedna z najlepszych ścian wspinaczkowych w Polsce już po raz drugi gościła u siebie imprezę tej rangi. Podobnie jak dwa lata temu i tym razem organizatorzy stanęli na wysokości zadania i zadbał o profesjonalne przygotowanie zawodów, za co należą im się słowa uznania. W zawodach udział wzięło ponad 30 najlepszych zawodników i zawodniczek z całego kraju, nie zabrakło też gości z Ukrainy. Pierwszego dnia eliminacji wyłonieni zostali finaliści konkurencji na czas i na trudność.

Finałowa niedziela zaczęła się mocnym akcentem rywalizacji na czas. Wśród pań bezkonkurencyjnie wygrała Edyta Ropek, pokonując w finałowym biegu Katarzynę Jurek. Trzecie miejsce zajęła Marta Lenartowicz. Wśród panów wygrał Tomasz Oleksy, dystansując w ostatnim biegu Łukasza Smagałę. Trzecie miejsce przypadło Jakubowi Pocięszce. W klasyfikacji generalnej Pucharu Polski 2005 na czas wygrali Edyta i Tomek.

Zmagania na trudność, na tak dużej ścianie, to nie lada widowisko – panie i panowie startowali równocześnie, co z pewnością podniosło jego atrakcyjność. Panie miały wytyczoną krótką drogę na przewieszonym „dziobie” ścianki, po niewielkich chwycikach. Panowie zaś mieli do pokonania spory kawałek ściany w długim przewieszeniu, wejście w dach i trawers w suficie w prawo, a na koniec – ponowne wejście w przewieszenie.

Wśród dziewczyn o zwycięstwie zdecydowały wyniki z eliminacji, ponieważ w finale po końcowym bulderze, na ostatnich metrach drogi kilka pań osiągnęło „top”. I tak zwyciężyła Kinga Ociepka przed Agatą Wiśniewską i Martą Lenartowicz. Walka panów to emocjonujące widowisko, w którym do ostatnich sekund nie było pewne, kto zwycięży. Aż czterem zawodnikom udało się pokonać wymagający trawers w dachu i dojść do końcowych metrów drogi. Marcin Wszolek, Jewgienij Kriwoszejcew oraz Tomasz Oleksy praktycznie doszli do tego samego miejsca. Ale ostateczne rozstrzygnięcie w pięknym stylu przyniósł Łukasz Dudek, który z gracją i ogromnym opanowaniem przeszedł całą linię drogi, wyprzedzając kolegów o jeden chwyt, co zapewniło mu zwycięstwo.

W klasyfikacji generalnej Pucharu Polski na trudność, wśród kobiet wygrała Kinga Ociepka przed Agatą Wiśniewską i Edytą Ropek. Zaś wśród mężczyzn zwyciężył Marcin Wszolek przed Łukaszem Dudkiem i Tomaszem Oleksem.

Puchar Polski w Bulderingu

W krakowskim centrum wspinaczkowym Reni-Sport w połowie grudnia rozegrano ostatnią w 2005 roku edycję Pucharu Polski w konkurencji bulderingu. Zawody rozegrano w jeden dzień, co z pewnością było bardziej komfortowe dla zawodników. Rano odbyły się eliminacje, a po południu finały. Zawody przyciągnęły ogromną rzeszę widzów, a najlepsi polscy i ukraińscy zawodnicy zapewnili im nie lada widowisko. Zmagania kobiet to zacięta walka na pięciu różnych problemach, w której prawdziwą klasę i ogromną siłę zaprezentowała Olga Szałagina, dorównać jej próbowały Kinga Ociepka i Edyta Ropek, reszta pań niestety zostawała w tyle. I w takiej kolejności wyglądało ostateczne rozstrzygnięcie, zwyciężyła zawodniczka z Odessy, drugie miejsce przypadło Krakowiance, a trzecie Tarnowiance. W klasyfikacji generalnej Pucharu Polski w bulderingu, dzięki systematycznym startom, zwyciężyła Edyta Ropek przed Kingą Ociepką i Agatą Wiśniewską.

Finałowe zmagania panów to zapierające dech w piersiach widowisko. Niesamowite problemy, przy-

gotowane przez Adama Pustelnika i Andrzeja Mecherzyńskiego-Wiktora, stanowiły dla zawodników nie lada problem, wymuszały kreatywność i inwencję twórczą. A chyba o to właśnie chodzi w sztuce bulderingu. Wielkie gratulacje dla kompozytorów! O ostatecznym wyniku zdecydowały zmagania na przedostatnim problemie, który zaczynał się w lekkim przewieszeniu, po wymagającym skoku do obłej „klamy” przechodził na pionową ściankę obok, gdzie należało wejść na chwyt do którego się skakało, co nie było takie proste, a następnie po „obłakach” dostać się ponownie na ściankę z której się zaczynało, tylko trochę wyżej do topowego chwytu. Marcin Wszolek dzięki odwadze, pomysowości i sprytowi po wykonaniu niebanalnego skoku z wysokości czterech metrów nad ziemią dostał się do końcowej „klamy”, dzięki czemu zdystansował całą resztę zawodników i zwyciężając obronił honor gospodarzy ściany. Publiczność po tym skoku oszalała wydając z siebie jeden wielki krzyk uwielbienia i uznania dla Marcina. Drugie miejsce wywalczył zawodnik z Ukrainy Stanisław Kleszniew, a trzecie Tomasz Oleksy. W klasyfikacji generalnej Pucharu Polski w bulderingu zwyciężył Marcin Wszolek przed Tomkiem Oleksem i Grzegorzem Naporą.



Marcin Wszolek na PP w bulderingu w Gdyni.

Fot. M. Zemfler

Puchar Polski w bulderingu 2006

Pierwsza tegoroczna eliminacja Pucharu Polski w bulderingu zorganizowana została w dniach 4 – 5 marca w nowym gdyńskim obiekcie Klubu Baltica. Sezon startów 2006 rozpoczął się bardzo mocnym akcentem, udział w zawodach wzięła praktycznie cała krajowa czołówka zawodników, tak więc było na co popatrzeć. Zawody rozegrano według najnowszych przepisów PZA i ICC. Największą zmianą w ich rozgrywaniu jest półfinał, do którego kwalifikuje się 20 zawodników oraz nowa formuła finału – 4 problemy, 6 finalistów, równoległy start kobiet i mężczyzn, gdzie na każdym problemie (przed przejściem do następnego) startują kolejno wszyscy zawodnicy. Zmagania kobiet to już po raz kolejny bardzo wyrównana walka Edyty Ropek z Kingą Ociepką, gdzie do ostatniej chwili nie było wiadomo, która z pań wygra. Sporą niespodzianką był również awans do finału młodych zawodniczek: Bogny Wilczyńskiej, Oli Kodzik i Oli Przypysz, dziewczynom udało się „przejsz” starsze i bardziej doświadczone zawodniczki, wielkie brawa. Ostatecznie wygrała Kinga, Edyta druga, Kasia Jurek trzecia. Zmagania mężczyzn to również wielkie widowisko, w roli głównej wystąpili Tomasz Oleksy i Marcin Wszolek, którzy zafundowali przybyłej publiczności nie lada pokaz swoich technicznych i fizycznych możliwości. Ostatecznie po zaciętej walce wygrał Marcin, Tomek drugi, a trzecie miejsce zajął Konrad Ociepka.

Nowe zasady rozgrywania zawodów sprawdziły się, awans 20 osób do półfinału to z pewnością spora nagroda i możliwość dłuższego powspinania się na zawodach, zwłaszcza dla tych osób, które przyjechały z odległych stron kraju. Nowa formuła finału jest bardziej czytelna dla publiczności, zwłaszcza laików. Kompozytorem przystawek był Adam Pustelnik, a zawody sędziowali Przemysław Schab i Arkadiusz Kamiński.

BoulderFest 4

W dniach 25-26 marca w Lublinie odbyły się jedno z najważniejszych lokalnych zawodów w Polsce. Lubelski Festyn Bulderowy to już czwarte spotkanie zwolenników i pasjonatów konkurencji pokonywania wymagających krótkich problemów wspinaczkowych. Impreza przyciągnęła ogromną rzeszę zawodników – 115 osób i licznie przybyłą publiczność. Formuła zawodów była z założenia luźna, miała charakter towarzyskiego spotkania przy muzyce, wspólnej zabawie w rozwiązywanie licznych problemów wspinaczkowych o różnym poziomie trudności. Organizatorzy przygotowali 19 różnorodnych przystawek, swoich sił mógł

spróbować każdy chętny, a najlepsi polscy wspinacze zafundowali nie lada widowisko. Zawody wygrali Kinga Ociepka i Marcin Wszolek.

Więcej informacji na: www.wdahu.com

Pierwszy Międzynarodowy Turniej Masters w Bulderingu

Na początku kwietnia w Kijowie rozegrano pierwszą w tym kraju międzynarodową imprezę Masters w konkurencji buldering. Na zawody zaproszona została europejska czołówka wspinaczkowa m.in. Olga Bibik, Melanie Son, Jerome Meyer i Tomasz Mrazek. Nie zabrakło również naszej reprezentacji, Polskę promowali Kinga Ociepka i Tomasz Oleksy. Udany start zaliczyła Kinga, udało się jej wejść do finału i ostatecznie zajęła 8 miejsce. Tomek uplasował się na 10 pozycji.

Najlepsze przejścia skalne w roku 2005

Rok 2005 już za nami, czas więc podsumować dokonania skalne naszych wspinaczy. Lista świetnych prowadzeń jest bardzo długa, nie sposób przytoczyć wszystkie wartościowe przejścia, my postanowiliśmy skoncentrować się na tych najlepszych.

Mocnym akcentem sezon wspinaczkowy rozpoczął Marcin Wszolek. Wiosną działał w Jaskini Mamutowej, gdzie wytyczył nową ekstremalną kombinację łączącą *Mechanikę Skręta Cienkiego* i *Czekając na Godoffa*, wyceniając ją na VI.7. Również wiosną aż dwóch przejść doczekała się propozycja Kuby Rozbickiego – *Hipnofotofilia VI.7* – zlokalizowana w Birowie (Lewo Podzamcze), powtórzeń dokonali Marcin Tralski i Krzysztof Sas-Nowosielski. Wg Krzyska tak wysoka wycena nie powinna się utrzymywać. Ale, jak na razie, gratulujemy powtórzeń obu panom!

Pod koniec maja Ola Taistra pokonuje ekstremalny klasyk Pochylca – *Nie dla Psa Kielbasa VI.7*. Jest to pierwsze kobiece przejście tej trudnej drogi, a siódme w ogóle. Natomiast na początku czerwca Kinga Ociepka dokonuje nie lada wyczynu prowadząc *Deklarację Nieśmiertelności VI.6+/7* w Jaskini Mamutowej. Jest to pierwsze kobiece prowadzenie drogi, przez lata uchodzącej za jedną z najtrudniejszych pod Krakowem realizacji Piotra Korczaka. I ponownie Ola Taistra w czerwcu rozprawiła się z ostatnią nie poprowadzoną drogą na Pochylcu czyli *I Ty Możesz Zostać Orłem VI.6/6+* oraz z *Chomeinim VI.6* w Jaskini Mamutowej.

Bogdan Rokosz dokonał pierwszego powtórzenia wiosennej nowości Marcina Wszółka w Jaskini Mamutowej, która doczekała się nazwy *Fumar Periudica VI.7*. Następnie Bogdan rozwiązuje jeden z ostatnich wielkich mitów Jaskini Mamutowej

czyli połączenie *Mechaniki Skręta Cienkiego*, *Czekając na Godoffa* oraz *Las Vegas Parano*, propozycja wyceny dla drogi to VI.7+ a nazwy - *Stal Mielec*.

Ola Taistra nie próżnuje, idąc za ciosem Kingi dokonuje drugiego kobiecego przejścia *Deklaracji Nieśmiertelności* VI.6+ w Jaskini Mamutowej. Kilka dni później rozprawia się z *Niežnością Lekkością Bytu* VI.7, również w tej jaskini.

Krzysztof Sas-Nowosielski zalicza swoją kolejną szóstą siódemkę, tym razem na Pochylcu, przechodząc *Nie Dla Psa Kielbasa* VI.7. Konrad Ocieka rozprawia się z kolejnym mitem Jaskini Mamutowej – połączeniem *Czekając na Godoffa* i *Deklaracji Nieśmiertelności*. Konrad nazwał kombinację *Szaletstwo Ludzi Zdrowych* i zaproponował wycenę VI.7+.

Kolejne panie pokonują magiczną granicę VI.6. Anna Sztompka pod koniec czerwca prowadzi *Pasję Życia* VI.6 na Wysokiej Płycie w Kobylanach. Oliwia Bechyne-Goś rozprawia się z *Pierdolonym Ogranicznikiem* na Pochylcu.

Sezon w pełni, panowie rozkręcili się na drogach spod znaku VI.7. Oto flash z ich dokonań. Marcin Wszolek dokonuje pierwszego powtórzenia *Stali Mielec* VI.7+, Konrad Ocieka przechodzi *Fumar Periudica* VI.7 w Jaskini Mamutowej, a Michał Szeliga prowadzi na Pochylcu *Nie Dla Psa Kielbasa* VI.7. Łukasz Dudek pokonuje w słowackim Višnovym drogę *Los Brno 11-* (8c) – jest to czwarte przejście tej drogi, a pierwsze polskie. Łukasz wspinał się również w Mamutowej, gdzie wkosił *Capoeirę* VI.7/7+. Łukasz Müller dokonał drugiego przejścia *Szaletstwa Ludzi Zdrowych* VI.7+ w Jaskini Mamutowej. Damian Sobczyk pokonuje *Hipnofotofilię* VI.7 na Lewym Podzamczu, Paweł

Wojtas – *Capoeirę* VI.7, a Bogdan Rokosz dokłada kolejną kombinację w jaskini Mamutowej *Acapulco Extension* VI.7.

Zagraniczny wyjazd młodzieży z Krakowa zaowocował cennymi przejściami spod znaku OS. Marcin Wszolek pokonał w hiszpańskim Rodellar drogę *Gladiator* 8b OS. Natomiast Kinga Ociepka przeszła *Grabias Fina* 8a OS. Następnie, po powrocie do kraju Kinga rozprawiała się z *Niežnością Lekkością Bytu* VI.7 w jaskini Mamutowej, jest to drugie kobiece przejście tej drogi. Kobięcych przejść ciąg dalszy: w połowie września Anna Sztompka pokonuje *Pierdolony Ogranicznik* VI.6 na Pochylcu.

Na zakończenie sezonu, który przedłużył się aż do końca października, Mateusz Haładaj powtarza dokonanie Marcina Wszółki i prowadzi w hiszpańskim Rodellar *Gladiatora* 8b w stylu OS, oraz dokłada *Geminis* 8c RP w 3. próbie. Ola Taistra prowadzi *Kummombo X* (8b) w słowackim Višnove. Mateusz Kilarski przeżywcował 12 października drogę *Oda do Pytona* VI.4+ na skale Zakonnik w Podzamczu, zaś Jakub Ziółkowski pod koniec października dokonał kolejnego powtórzenia drogi Kuby Rozbickiego *Tyranozaurus Rex* VI.7. Jędrzej Wilczyński z Wrocławia poprowadził nową kombinację na Tępej w Sokolikach o nazwie *Specnaz* i zaproponował dla niej wycenę VI.7/7+.

Opracowano na podstawie

www.wspinanie.pl

Ouray Ice Festival

Te najważniejsze zawody lodowe za oceanem rozegrano 14 stycznia 2006 r. w miasteczku Ouray (Colorado). W otaczających je górach San

Juan już po raz jedenasty spotkali się najlepsi drytoolowcy świata.

Finałową drogę (M9+) w konkurencji na trudność pokonali jedynie Kanadyjczyk Will Gadd i Austriak Harald Berger. Zwycięzył o prawie trzy minuty szybszy Gadd. Will Gadd został absolutnym triumfátorem zawodów, wygrywając również konkurencję na czas.

Wśród pań, również w obu konkurencjach, już po raz czwarty z rzędu triumfowała Niemka Ines Papert. W ubiegłym roku w klasyfikacji generalnej (łącznie panie i panowie) była pierwsza, teraz poszło trochę gorzej i zajęła czwarte miejsce.



Will Gadd pewnie pokonał konkurencję na Ouray Ice Festival

Puchar Polski 2006 w narciarstwie wysokogórskim

Jacek Radosław Bilski

Na tegoroczny Puchar Polski (PP) miały składać się cztery imprezy:

- 11.02. Puchar Pilska (PPi) – jednocześnie edycja Pucharu Europy Środkowej (PEŚ) (org. KS Kandahar);

- 18.02. Puchar Polonin (PPo) (org. Rzeszowski KW) pierwotnie wyznaczony na Mistrzostwa Polski (MP);

- 25.03. Memoriał Waldemara Siemaszki (MS) (org. Szkoła Górską z Samotni i Grupa Karkonoska GPR);

- 1.04. Puchar SN PTT 1907 im. Józefa Oppenheima (PO) (org. SN PTT 1907), wyznaczony ostatecznie na MP po wpadce organizacyjnej RKW i odmowie homologacji tras Pucharu Polonin przez przedstawicieli PZA.

W PP2006 było kilka zmian regulaminowych w stosunku do PP2005:

1. Wprowadzono obowiązek posiadania licencji zawodniczych;

2. Przywrócono limit startów;

3. Przywrócono zasadę rankingu tylko obywateli polskich;

4. Wprowadzono wieloosobowe jury wzorując się na ISMC;

5. Poza punktami za miejsce, wprowadzono punkty za czas, co skutecznie wyeliminowało problem ex aequo.

PPi jako edycja PEŚ był zmierzaniem się czołówki zawodniczej Czech, Słowacji i Polski. Zgodnie z przewidywaniami polskie męskie teamy nie weszły na podium – pierwszy polski zespół Zachwieja-Żebracki był piąty. Znacznie lepiej wypadły teamy żeńskie (pierwszy mieszany Derezińska-Lackovićová, trzeci Dzik-Solik), ale trzeba pamiętać, że Czechy i Słowacja nie mają w tej chwili zawodniczek.

PPo wypadło z PP z powodów wcześniej podanych. Wielka szkoda, że organizatorzy nie zmobilizowali się mając sztyld MP.

MS po zeszłorocznej wpadce zaskoczył świetną organizacją. Zmiana dyrektora zawodów i kierownika tras dała efekty. Zwycięstwo Żyszkowskiej pod nieobecność Derezińskiej nie było zaskoczeniem. Nieprzewidywalny był zwycięzca seniorów, przy dość wyrównanych możliwościach naszej czołówki. Ostatecznie wygrał Wargocki przed Czechem. Warto pamiętać, że obaj są już weteranami.

PO jako MP zgromadził najlepszych. Wyniki

kobiet znów były przewidywalne, natomiast wyniki mężczyzn – nie. Mikołajczyk zaskoczył wszystkich zdobywając tytuł mistrzowski, pod uwagę był brany raczej Żebracki, jako zdobywca PP.

Wśród najlepszych pań – senierek, ich b. różna klasa sportowa powoduje możliwość przewidywania wyników z prawdopodobieństwem 95%. Cieszy zatem fakt, że męska czołówka seniorów jest wyrównana, choć niestety niewielka.

Kadra się starzeje, a nowych zawodników nie przybywa. Powoduje to przesuwanie się zawodników z kategorii do kategorii w sposób falowy. Byłe młodziczki stały się kadetkami, były weteranki – nestorkami i ... przestały startować. Młodziczek nie ma, młodzik jest jeden, ale za rok będzie już kadetem. Na podium PP2006 w kategorii kadet stanął jeden zawodnik (dla wyjaśnienia – na każdych zawodach miał minimum dwu konkurentów, ale nie byli oni klasyfikowani regulaminową ilość razy i stąd ich nieobecność w rankingu). Juniorki, espoir kobiety i juniorzy – to praktycznie kategorie nie istniejące. Czołówka weteranów prawie pokrywa się z czołówką seniorów.

Wyniki Mistrzostw Polski 2006 (seniorzy)

Mężczyźni:

1.Tomasz Gąsienica-Mikołajczyk (Tatra Team)	2:40:30,1
2.Mariusz Wargocki (Tatra Team)	2:42:19,6
3.Jacek Żyłka-Żebracki (GP GPR)	2:43:52,7

Kobiety:

1.Magdalena Derezińska (KS Kandahar)	3:12:14,9
2.Justyna Żyszkowska (Tatra Team)	3:36:26,6
3.Aleksandra Dzik (KS Kandahar)	3:46:27,2

Ranking końcowy Pucharu Polski 2006 (seniorzy)

Mężczyźni:

1.Jacek Żyłka-Żebracki (GP GPR)	296,59 pkt.
2.Mariusz Wargocki (Tatra Team)	293,42 pkt.
3.Jacek Czech (KS Kandahar)	292,26 pkt.

Kobiety:

1.Justyna Żyszkowska (Tatra Team)	286,33 pkt.
2.Aleksandra Dzik (KS Kandahar)	277,79 pkt.
3.Agnieszka Konior (KS Kandahar)	257,78 pkt.

W pozostałych kategoriach PP zwyciężyli: Julia Wajda i Andrzej Bargiel (kadeci), Sławomir Czubak (espoir) i Mariusz Wargocki (weterani).

Przyszłość narciarstwa wysokogórskiego w Polsce

Można uznać, że Komisja Narciarstwa Wysokogórskiego doprowadziła, poprzez kilkuletnie konsekwentne działania, do ujęcia tego sportu w ramy przepisów zgodnych z przepisami UIAA – ISMC. Wyprowadziliśmy tu nawet sąsiadów – niestety organizacyjnie, a nie sportowo.

Nie pomogą jednak dobre regulacje, gdy nie ma zawodników. Przed KNW stoi trudne zadanie zachęcenia młodzieży do uprawiania NW. Tylko zasygnalizują tu problemy do rozwiązania.

Nie mamy ani jednego trenera w tej dyscyplinie – z konieczności posiłkujemy się trenerami z dyscyplin pokrewnych.

Światowe zawody w NW przeszły od kierunku „na trudność” do kierunku „na czas”. Z tego powodu zawodnicy rekrutują się w większości z narciarzy, którzy otarli się o alpinizm. Założenia szkoleniowe PZA są odwrotne – aby zostać narciarzem wysokogórskim, trzeba być taternikiem. Tym z kolei można zostać mając minimum 16 lat. A kategoria młodzików to osoby 12-15 – letnie. Jak zatem to pogodzić? Na dziś kluby przy wystąpieniach o licencji zawodnicze wystawiają swym zawodnikom świadectwa kwalifikacyjne, których podstaw merytorycznych nikt nie sprawdza.

Do tego dochodzą problemy natury finansowej. Od tego roku pieniędzy z dotacji ministerstwa sportu nie można wydać na sprzęt czy nagrody. Tegoroczne nagrody zostały zapłacone z funduszy KNW pozyskanych za opłaty licencyjne, a więc za pieniądze klubów i zawodników. Obowiązkowe wyposażenie zawodnika kosztuje ok. 5.000 zł. Medialność zawodów NW, a zatem możliwość pozyskiwania środków z reklamy oraz pozyskiwania

sponsorów, jest problematyczna. Próby jej powiększenia przez pokaz ze śmigłowca są b. dyskusyjne (lawina spowodowana przez śmigłowca na ostatnich MŚ w Cuneo czy loty nad terenami chronionymi, w których zazwyczaj odbywają się te zawody).

Niektórzy organizatorzy zawodów NW wprowadzają „amatorskie” kategorie rozgrywane przy okazji zawodów sportu kwalifikowanego. Żeby było taniej dla zawodników. Pod tymi kategoriami KNW nie podpisuje się. Dlaczego? Bo taniej – oznacza bez detektora lawinowego, kasku, świadectwa zdrowia, poświadczonych umiejętności i ubezpieczenia.

Dodatkowo działalność KNW, której wszyscy członkowie są wolontariuszami, poddawana jest niczym nie uzasadnionej, permanentnej i niewybrednej krytyce (tak niewybrednej, że nie należy na nią reagować) ze strony TKN „Tatra Team”. Spowodowało to odejście niektórych członków komisji. Chcieli przeznaczyć swój z trudem wygospodarowany wolny czas na pracę, a zmuszani byli do ciągłego odpierania ataków. Tu należy też chyba upatrywać przyczyny zmiany przynależności klubowej Derezińskiej – przeszła z „Tatra Teamu” do Kandaharu.

Organizatorzy zawodów dokonują olbrzymiego wysiłku pozyskując środki od sponsorów i zatrudniając ludzi za dobre słowo i posiłek. Jednocześnie muszą sprostać wymogom regulaminowym skrupulatnie egzekwowanym przez przedstawicieli PZA. Nie masz homologacji - nie masz dotacji. Są pełni zaangażowania, ale muszą wyjść finansowo na przysłówiowe „zero”.

Jacek Radosław Bilski

Autor jest przewodniczącym Komisji Narciarstwa Wysokogórskiego PZA

Bieg „dookoła Pieca”

XVIII Memoriał Jana Strzeleckiego

W sobotę 18 marca 2006 udało się rozegrać 18. już edycję Memoriału Jana Strzeleckiego, traktowanego także jako XIII „Klasyczne” Mistrzostwa Polski w Narciarstwie Wysokogórskim. Jednakże w tym roku, ze względu na fatalne warunki atmosferyczne, po raz pierwszy w swej blisko 20-letniej historii Memoriał nie miał charakteru zawodów „klasycznych”, czyli nie składał się z odrębnych odcinków podbiegu i zjazdu terenowego na czas.

Ponieważ w tym samym czasie, co Memoriał Strzeleckiego, na Słowacji odbywał się Memoriał Vlado Tatarki skupiający tamtejszych ski-alpini-

stów, więc po raz trzeci w 18-letniej historii „Strzeleckiego” zawody odbyły się bez uczestników zagranicznych. Pomimo nie zachęcającej do udziału pogody wystartowało 20 par zawodników, przy czym „drużynowa” konkurencja rozegrała się między dwoma głównymi ośrodkami ski-alpinizmu w Polsce.

Tegoroczny Memoriał wygrał Adam Gomola z Mariuszem Wargockim w czasie 46 min 42 sek., ale w niespełna minutę za nimi uplasowali się Andrzej Bargiel z Szymonem Stopką w czasie 47 min 30 sek. Warto przy tym podkreślić, że ten zakopiański zespół należy do klasy „kadeków” –



Agnieszka Konior i Stanisław Kruczek na trasie Memoriału Jana Strzeleckiego. Fot. A. Iwanowski

młodzieży do lat 18-tu, przy czym Szymon Stopka ma zaledwie lat 16! W drugiej grupie klasyfikacyjnej, do której na Memoriale Strzeleckiego zalicza się zespoły żeńskie i żeńsko-męskie, triumfowały zakopianki Justyna Żyszkowska i Helena Gąsienica-Roj z czasem 63 min 30 sek., ale zaledwie 5 sekund za nimi był śląski zespół Agnieszka Solik z Marcinem Zwolińskim, oraz stanowiący udane połączenie przedstawicielek drużyny „Kandaharu” z „Tatra Teamem”, najmłodszy, 15-16 letni zespół Julii Wajdy z Ewą Gajewską z czasem 64 min 40 sek.

Po rozdaniu nagród (głównie dostarczonych przez firmy „Hi-Mountain” i „Lanex”, a także przez TPN, TOPR i sklepy „Wierchy” w Krakowie oraz „Nowar” w Zakopanem), w schronisku na Ornaku na nocleg pozostali już tylko organizatorzy oraz grupa entuzjastów narciarstwa z „Kandaharu”. Tej grupie udało się w niedzielę, przy niespodziewanie wspaniałym słońcu i doskonałym, puszystym śniegu, dokonać wycieczki śladami założycieli, przed 80 laty, Sekcji Narciarskiej AZS w Warszawie. Budowę spalonego później przez Niemców schroniska tej Sekcji sponzorował wtedy Władysław Strzelecki, ojciec Jana Strzeleckiego.

Marek Głogoczowski

Mistrzostwa Świata w narciarstwie wysokogórskim 2006

We włoskim Cuneo, a właściwie na stokach pobliskich Alp Kotyjskich i Liguryjskich, rozegrano w dniach 27.II – 4.III.2006 Mistrzostwa Świata w ski-alpinizmie.

Reprezentacja Polski w klasyfikacji generalnej MŚ zajęła 12 miejsce wśród 34 krajów. Na rezultat ten złożyły się następujące wyniki:

W rozegranym 28 lutego w Crissolo biegu pod górę (Vertical race):

- Julia Wajda wśród „kadelek” zajęła 6. miejsce na 8 startujących;

- Grzegorz Beczała w kategorii juniorów – 21. miejsce na 23 startujących;

- Magdalena Derezińska w kategorii senierek – 26. miejsce na 36 startujących;

- Mariusz Wargocki w kategorii seniorów – 61. miejsce na 93 startujących.

1 marca rozegrano bieg w parach:

- Jacek Żebracki i Szymon Zachwieja zajęli 28. miejsce na 49 startujących seniorów.

W biegach sztafetowych, które odbyły się 4 marca w Artesina:

- juniorzy Julia Wajda, Grzegorz Beczała i Andrzej Margiel uplasowali się na 6. miejscu na 7

startujących zespołów;

- seniorzy Jacek Czech, Jacek Żebracki, Szymon Zachwieja i Mariusz Wargocki sklasyfikowani zostali na 11. miejscu na 18 startujących.

Koronną konkurencję Mistrzostw – bieg w parach wygrali:

- wśród kobiet – Francesca Martinelli i Roberta Pedranzini (Włochy), a wśród mężczyzn – Patrick Blanc i Stephane Brosse (Francja).

3 marca podczas rozgrywania konkurencji indywidualnej w Artesina, ze stoków Monte Mondolè na trasę zesłała lawina, prawdopodobnie spowodowana przez śmigłowce. Zasypany został m. in. nasz reprezentant w kat. kadetów Andrzej Bargiel. Został odkopany po ok. minucie. Pomimo szoku, zdołał o własnych siłach zjechać w dół. Pozostali zasypani również wyszli prawie bez szwanku. Konkurencję przerwano.

Tradycyjnie prym wiedli zawodnicy z Włoch, Francji i Szwajcarii zajmując większość czołowych miejsc. Dobry występ odnotowali także nasi południowi sąsiedzi (Słowacy i Czesi), którzy w klasyfikacji generalnej zajęli odpowiednio szóste i ósme miejsce.

V Międzynarodowy Konkurs Fotografii Jaskiniowej Im. Waldemara Burkackiego

Korytarze grot spowite są w wiecznych ciemnościach. Wchodzący do nich badacze wątłymi światłami rozpraszają mrok, by odkrywać fascynujący, podziemny świat jaskiń. Grotolazi pozostawiają swoje wrażenia zazwyczaj we własnej pamięci. Są jednak i tacy, którzy piękno jaskiń zatrzymują w obrazach malowanych światłem i cieniem, szukają ukrytych w ciemności kolorów z aparatem fotograficznym. Fotografowie jaskiniowi.

Wykonywanie zdjęć pod ziemią jest żmudne i technicznie skomplikowane. Dodatkowym problemem dla podziemnych twórców jest pokonywanie trudności samej jaskini. Niska temperatura, duża wilgotność powietrza, wąskie szczeliny i korytarze, które niejednokrotnie przechodzić trzeba przy użyciu sprzętu taternickiego – to tylko nieliczne utrudnienia, jakie musi pokonywać grotolaz-fotograf. Między innymi dlatego zdjęcia jaskiń są rzadko pokazywane szerszemu odbiorcy i dlatego perspektywa „wyciągnięcia” ich na



Fot. W. Burkacki



Titeres I. Fot. Omar Amilcar Jimenez Amaya, Meksyk
(wyróżnienie)

światło dzienne jest tak interesująca.

W Speleoklubie Warszawskim przygoda z fotografią zaczęła się wraz z jego powstaniem w 1954 roku. Pierwsze czarno-białe negatywy oddawali dowołania nasi starsi koledzy, wracając z pionierskich akcji w Tatrach. Wiele zdjęć powstawało w połowie lat siedemdziesiątych, w trakcie inwentaryzacji oraz kartowania jaskiń tatrzańskich. Na kliszach przetrwały pierwsze kadry z Miętusiej, wzruszenia autorów. Waldek Burkacki, Jurek Milka i wielu innych – nie umieli zejść na dół bez aparatu.

Najlepszym sposobem zachowania żywej pamięci o człowieku jest kontynuacja jego dzieła, jego pasji. Waldek Burkacki – towarzyszył wielu wypraw i górskich przygód, kolega, przyjaciel, artysta. Wrażliwy, życzliwy, aktywny, zaangażowany w sprawy jaskiniowego świata. Wyrwany z naszego kręgu przez tragiczną śmierć. Tworzył wypełnione spokojem obrazy, przekazujące wizję podziemnego świata. Wizję powstającą przez umiejętne ujęcie tematu, wydobytą z wiecznego mroku po mistrzowsku. Był utalentowanym dokumentalistą. Obecny na Jego zdjęciach człowiek



Waldemar Burkacki

Fot. P. Podobiński

nie zakłóca spokoju i majestatu przyrody, jest w nią wtopiony, ukazany we właściwej skali, często zadumany, zharmonizowany z otoczeniem.

Rozpoczynając w latach osiemdziesiątych organizację konkursów fotograficznych im. Waldemara Burkackiego, chcieliśmy, by popularyzacja jaskiń i masywów krasowych, a także taternictwa jaskiniowego nadal wiązała się z tym rodzajem wrażliwości na piękno podziemnego świata, jaki nam przekazał.

W tym roku Speleoklub Warszawski rozpoczął V edycję konkursu, która trwa od 1 marca do 9 października 2006. Serdecznie zapraszamy do udziału i na wystawy. Informacje na bieżąco na: <http://konkurs.speleo.waw.pl/> <http://www.speleo.waw.pl>

Na podstawie tekstów: Jerzego Milki, Mirosława Burkackiego, Izabeli Luty, Krzysztofa Recielskiego i Katarzyny Starosty.

Proyecto Cheve

Polscy grotolazi na wyprawach US Deep Caving Team w Meksyku

Katarzyna Biernacka, Marcin Gala

Od 4 lat grotolazi ze Speleoklubu Warszawskiego uczestniczą w wyprawach do Sistema Cheve w południowym Meksyku. Wyprawami organizowanymi w ramach Proyecto Cheve kieruje Bill Stone, który w meksykańskich jaskiniach działa już od 30 lat. Do nawiązania współpracy doszło w 2001. Katarzyna Biernacka i Marcin Gala w czasie rekonesansowego wyjazdu spotkali członków amerykańskiej wyprawy „Inner Space Odyssey 2001”. Po krótkim teście technicznym zostali

zaproszeni do wzięcia udziału w dalszej części wyprawy – w eksploracji jaskini Cueva de la Mano.

Badania tej jaskini stanowią część Proyecto Cheve. Celem projektu jest odnalezienie połączeń między jaskiniami masywu Sierra Juarez w stanie Oaxaca w południowym Meksyku. Barwienia wody wykazały, że prawdopodobne jest tam odnalezienie systemu o deniwelacji przekraczającej 2500 m. Jaskinia Cueva de la Mano jest wywierzyiskiem potencjalnego systemu. W tej chwili jej długość przekracza 10 km.

Sistema Cheve 2003 była kolejną wyprawą Billa Stone’a, w której uczestniczyliśmy. Celem wyprawy było pokonanie syfonów leżących na dnie Cueva Cheve – najwyższej położonej i najgłębszej wśród jaskiń masywu Sierra Juarez. Po wielodniowym poręczowaniu i transportach sprzętu nurkowego angielscy nurkowie Jason Mallinson i Rick Stanton pokonali dwa kolejne syfony i zwiększyli głębokość jaskini do 1484 m. Cueva Cheve stała się najgłębszą jaskinią półkuli zachodniej. Jednak dalszą eksplorację zatrzymało zawałisko.

W 2004 roku szukaliśmy innej drogi, która doprowadziłaby nas za syfony Cheve. Prowadzona była eksploracja w wąwozie Barranca



W czasie eksploracji powierzchniowej w marcu 2004 wyprawa odkryła m.in. spektakularny otwór Cueva Atanasio.

Estrella, w jaskini Sumidero Aguacate oraz rekonesans powierzchniowy w masywie leżącym na wschód od Cueva Cheve. W tym ostatnim rejonie udało się odkryć wiele interesujących otworów oraz 3 duże jaskinie: Jabali, Atanasio, Tetris i J2.

Właśnie ta ostatnia jaskinia była celem wyprawy wiosną 2005 roku. Obóz został rozłożony w niedostępnym, pozbawionym wody lesie, na wysokości 2200 m. W 2004 roku jaskinia została poznana do głębokości -391m. Do tego miejsca jaskinia jest ciasna, na rozwinięciu pionowym. Jednak przodek obiecywał zmianę charakteru jaskini na poziome, obszerne korytarze. Rzeczywiście eksploracja, początkowo prowadzona z powierzchni, potem z biwaków, była nadzwyczaj przyjemna. Duży przewiew i rzeka obiecywały dużą jaskinię.

Niestety, na głębokości -756 m zatrzymał nas syfon. Prawie dwa tygodnie spędziliśmy próbując odnaleźć obejście – bezskutecznie. Wydawało się, że to koniec wyprawy. Jednak w ekspresowym tempie udało się zorganizować transport sprzętu nurkowego z USA i zanieść go do jaskini.

Syfon został pokonany po raz pierwszy przez Australijkę Alana Warilda. Za przeszkodą znajdował się obszerny korytarz. Jednak ze względu na dużą odległość od otworu, dalsza eksploracja z użyciem sprzętu do nurkowania wydawała się niemożliwa. Woda w syfonie



Jaskinia J2, kwiecień 2005. Eksploracja poziomych korytarzy z wodą przynosiła dużo satysfakcji.



Transport sprzętu nurkowego w jaskini Cheve, marzec 2003.

była spiętrzona przez naturalną tamę pięciometrowej szerokości. Postanowiliśmy spróbować ją rozebrać, żeby obniżyć poziom wody w syfonie i umożliwić pokonywanie przeszkody bez konieczności nurkowania.

Przez kolejne 4 dni trwały prace po drugiej stronie syfonu. Rozbierając tamę kamień po kamieniu obniżaliśmy poziom wody o 2,5 metra. Piątego dnia przeszliśmy na drugą stronę z głową nad powierzchnią wody. Eksploracja ruszyła dalej. Poniżej czekały głęboko wcięte kaniony, wodospady, coraz większe jeziora. Na ostatnim biwaku osiągnięto głębokość -1101 metrów. Przodek jest otwarty.

Eksploracja jaskini J2 będzie kontynuowana. Z zestawień planów jaskiń wynika, że pojawiła się realna szansa na obejście syfonów w Cueva Cheve. Jednak do wywierzyska Cueva de la Mano jest jeszcze bardzo daleko – w linii prostej ponad 12 km. Góry Sierra Juarez kryją przed nami jeszcze wiele tajemnic.

Polscy uczestnicy wypraw Proyecto Cheve:

Speleoklub Warszawski: Małgorzata Barcz (2004), Katarzyna Biernacka (2001, 2003, 2004, 2005), Tomasz Fiedorowicz (2003, 2004, 2005), Marcin Gala (2001, 2003, 2004, 2005), Katarzyna Kędracka (2005), Katarzyna Okuszek (2003), Lena Ostrowska (2005), Paweł Skoworodko (2003, 2004, 2005).

Speleoklub Gawra Gorzów: Artur Nowak (2004, 2005).

Zdjęcia : Kasia Biernacka, Marcin Gala / speleo.pl

Alpejski hat trick Bergera

Goszczący niedawno w Polsce Stefan Glowacz był pierwszym wspinaczem, który pokonał tzw. Alpejską Trylogię – trzy najtrudniejsze, wielowyciagowe, skalne drogi Alp. Są to: *Silbergeier* – 6-wyciagowa droga austriackiego mistrza skały Beata Kammerlandera na 4 Kirchlispitze w masywie Rätikon, *The End of Silence* – poprowadzona w 11 wyciagach przez Thomasa Hubera na Hinteres Feuerhornl w Alpach Berchtesgadeńskich, oraz „własna”, 9-wyciagowa droga Glowacza – *Des Kaisers neue Kleider* („Nowe szaty cesarza”) na pn.-wsch. filarze Fleischbanku (Wilder Kaiser). Wszystkie trzy drogi są oceniane na 8b+ i miały swoje pierwsze przejścia w 1994 r.

Znany specjalista od lodu i mikstu, kilkakrotny mistrz świata Harald Berger, dokonał tego wyczynu jako drugi. We wrześniu 2005 r. przeszedł *Silbergeier*, mając już za sobą przejścia, w dwóch poprzednich latach, pozostałych dwóch dróg „Trylogii”. Berger pracował nad *Silbergeier* przez 8 dni, zanim spróbował przejścia RP. Bez przygód dotarł do piątego, kluczowego wyciągu i tam zaczął mieć problemy. Było bardzo gorąco i zaczął odczuwać zmęczenie. Po locie w górnej części wyciągu, musiał odpoczywać przez godzinę na półce skalnej, by wreszcie pomyślnie zakończyć wspinaczkę.

Harald Berger zwrócił teraz swoje zainteresowanie ku innej drodze Kammerlandera – *Unendliche Geschichte* („Niekończąca się historia”) 8b/8b+ na 7 Kirchlispitze w Rätikon. Sam Kammerlander uważa tę 12-wyciagową drogę, poprowadzoną w 1990 roku, za trudniejszą od bardziej sławnej *Silbergeier*. O ile ta ostatnia była już powtarzana wielokrotnie, *Unendliche Geschichte* zyskała drugie przejście dopiero ostatniej jesieni. Jego autorem był włoski wspinacz Pietro dal Prà.

Mikstowa mega-droga w Alpach

Robert Jasper i Markus Stofer wytyczyli nową 12-wyciagową linię w rejonie jednego z najwyższych wodospadów w Alpach, Staubbachwasserfall w Berner Oberlandzie (Szwajcaria). Na 287 m wysokości, droga przedstawia trudności do M9 E5 WI5+ i wymaga asekuracji z haków lodowych, skalnych, ekspansyjnych oraz friendów 0,5 - 3. Zespół pracował nad nią na początku lutego. Pierwsza próba przejścia całości nie powiodła się, na 11 wyciągu (M8/9) dwójka musiała wycofać się, gdyż panowała wysoka temperatura i lód stopniał na odcinku prawie 20 m. Trzy dni później, Jasper i Stofer zjechali do punktu przerwania próby i pokonali końcowe 2 wyciągi. Droga wciąż czeka na przejście jednym ciągiem, ale jej autorzy ostrzegają przed niebezpieczeństwami obiektywnymi: należy unikać wspinania się przy wysokiej temperaturze i przy silnej operacji słonecznej. Od 7. wyciągu wycofanie się jest bardzo trudne!

Cerro Murallón od północy

W sezonie patagońskim 2003 w dniach 4 i 5 grudnia Stefan Glowacz i Robert Jasper oraz fotograf Klaus Fengler weszli na wierzchołek 2831 m w masywie Cerro Murallón, wspinając się pięknym północno-zachodnim filarem, drogą nazwaną *The Lost World* (VII+ M8). W trakcie tej wspinaczki wypatrzyli możliwość wytyczenia ładnej drogi imponującej, silnie przewieszoną północną ścianą. Z zamiarem realizacji tego pomysłu pojechali do Patagonii w rok później, trafili jednak na okres wichur i śnieżyc. Mimo to wywalczyli na ścianie 21 wyciągów i poddali się, będąc zaledwie 250 m od szczytu. Na jesień 2005 zaplanowali kolejną wyprawę. Bazę założyli w sztucznej grocie, wypilowanej w lodzie. Trzy tygodnie czekali na korzystne warunki, kiedy jednak pojawiło się pogodowe „okno”, w sobotę 12 listopada o godz. 3 rozpoczęli wspinanie. Biwakowali w środku ściany. Mając drogę częściowo wyekwipowaną sprzed roku, w 42 godz. pokonali przeszło 1000 m (27 wyciągów) pięknej i trudnej skały (IX+ A2), by w niedzielę 13 listopada o godz. 21 wieczorem osiągnąć wierzchołek Cerro Murallón (2831 m – wysokości podawane są różnie). Wrócili zjazdami w linii nowej drogi, którą nazwali *Vom Winde Verweht* („Przeminęło z wiatrem”). (jn)



Droga Glowacza i Jaspiera na północnej ścianie Cerro Murallón. Fot. K. Fengler

Cerro Torre 2005

Spór o to, kto był pierwszy na Cerro Torre – Maestri i Egger w 1959 czy Casimiro Ferrari i jego „Ragni” z Lecco w 1974 roku – trwa już niemal pół wieku. Ermanno Salvaterra (50) był długo po stronie Maestriego, potem jednak zmienił zdanie. W tym sezonie postanowił przeprowadzić „wizję lokalną”. Podobnie jak Glowacz i Jasper, długo czekał na rozpogodzenie. Przyszło w te same dni, co pod Murallón: 12 listopada 2005. Trójka Ermanno Salvaterra, Alessandro Beltrami i Rolando Garibotti zaplanowała lekki atak, stylem alpejskim, z żywnością na 3 dni. Wspięła się ścianą wschodnią ukosem do Colle della Conquista i przewinęła się na stronę północno-zachodnią. Tą ścianą trudnym terenem skalnym i lodowym szła kilkanaście wyciągów. Znowu przewinięcie przez grań północną i wspinacze znaleźli się w górnej części iglicy, strojnej w nawisy i śnieżne narośla. Wspinali się teraz ścianą zachodnią, w linii wejścia włoskiego z r. 1974. Szczyt osiągnęli 13 listopada 2005 po pokonaniu 37 wyciągami 1200 m wysokości. Droge – pierwszą na Cerro Torre wytyczoną w stylu alpejskim – nazwali *El Arca de los Vientos*. Ślady rzekomego wejścia Maestriego z 1959 r. urywały się na trójkątnym śnieżku 300 m nad podstawą ściany wschodniej, gdzie znaleźli stary depozyt. Wyżej brak było wzmiankowanych spitów a opis Maestriego nie zgadzał się z terenem (miał być w większości lodowy), z czego należy wnosić, że jego droga i wejście – od początku mało wiarygodne – były zwykłym mitem. Salvaterra ujmuje to łagodnie: „To, że nie znaleźliśmy żadnego śladu, nie oznacza, że nie byli oni na szczycie. Ale wątpliwości, pozwólcie mi to powiedzieć, pozostają.” Sprawa ma bogatą literaturę – najszczegółowiej zbadał ją Rolando Garibotti, którego studium ukazało się w wydanej w 2004 r. książce Toma Dauera „Cerro Torre. Mythos Patagonien” (2004), także w AAJ 2004. (jn)

Chomo Lönzö

Ten wysoki siedmiotysięcznik (7799 m) zdobyty został w 1954 r. przez dwójkę Francuzów Jean Couzy i Lionel Terray, przy okazji rekonesansu drogi na dziewiczy jeszcze wówczas Makalu. W rok później udał się Francuzom szturm na ten ośmiotysięcznik, w 1971 r. zdobyli również piękny, zachodni filar Makalu. Związane z masywem Makalu chlubne tradycje kulturyjają nowe pokolenia francuskich himalaistów. Wiosną 2004 r. Jean-Christophe Lafaille poprowadził nową drogę *Katia and Tom* północno-zachodnią flanką Kangchungtse (Makalu II, 7678 m) po czym zszedł na Makalu La, dokonując pierwszego trawersowania tego szczytu.

Wiosną 2005 r. pod północną flankę Chomo Lönzö udała się wyprawa francuska w składzie: Patrick Wagnon, Christian Trommsdorff, Yannick Graziani, Christophe Moulin (kierownik), Stephan Benoist, Patrice Glairon-Rappaz, Yann Bonneville and Aymeric Clouet. Również i ta wyprawa odnotowała piękne osiągnięcia. Trommsdorff, Graziani i Wagon weszli 8 maja na dziewiczy północno-zachodni wierzchołek Chomo Lönzö (7150 m). W ok. tydzień później Benoist i Glairon-Rappaz wytyczyli w stylu alpejskim, w ciągu 3 dni, nową drogę na zachodniej ścianie tego samego wierzchołka. Kolejny tydzień i kolejny sukces: Trommsdorff, Graziani i Wagon przetrawersowali zdobyty wcześniej Chomo Lönzö NW, poszli dalej trudną, skalną granią i dokonali pierwszego wejścia na Chomo Lönzö Middle (7540 m).

Alpinistyczny Oscar dla Amerykanów

Zdobywcami prestiżowej nagrody Złotego Czekana za 2005 rok została dwójka amerykańskich alpinistów Steve House i Vince Anderson.

House i Anderson zostali uhonorowani za świetne stylowo przejście nowej drogi na ponad 4-kilometrowej południowej ścianie Nanga Parbat. (Tat. 3-4/2005 s. 30)

XV edycja uroczystości wręczenia nagrody odbyła się wieczorem 10 lutego w Grenoble. Sakramentalne słowa: „And the winner is...” – wypowiedział przewodniczący jury, znany brytyjski alpinista Stephen Venables. W Jury poza nim zasiadali: Aleksiej Bołotow i Michaił Michajłow (członkowie ekipy z pn. ściany Jannu, zdobywcy Złotego Czekana sprzed roku), Guy Chaumereuil (Francja, fundator nagrody), Mike „Twid” Turner (Wielka Brytania), Pierre Hofmann (Szwajcaria, przedstawiciel GHM), Sylvo Karo



Anderson i House ze swoim trofeum. Po prawej - Robert Jasper. www.mountain.ru

(Słowenia, „Mountain Wilderness International”), François Marsigny (Francja), Im Duc Young (Korea) oraz przedstawiciel redakcji „Montagnes magazine”, organizatora „Piolet d’Or”

Pozostałe nominacje do Złotego Czekana 2005 to:

1. Siergiej Samojłow i Denis Urubko – za nową drogę południowo-zachodnią ścianą Broad Peak (Tat. 3-4/2005 s. 30);
2. Patrick Wagon, Christian Trommsdorf i Yannick Graziani – za trawersowanie dwóch dziewiczych wierzchołków masywu Chomo Lönzö (p. wyżej);
3. Ueli Steck – za himalajską łańcuchówkę na ścianach Cholatse, Taweche i Ama Dablam (Tat. 3-4/2005 s. 45);
4. Robert Jasper i Stefan Glowacz – za nową drogę pn. ścianą Cerro Murallón (p. wyżej);
5. Ermanno Salvattera, Alessandro Beltrami i Rolando Garibotti – za nową drogę na Cerro Torre (p. wyżej).

Złote Haki 2005

Francuzi przyznają Złote Czekany, Amerykanie mają również swoje wyróżnienia dla wspinaczy – Złote Haki (Golden Piton), nagrody przyznawane od czterech lat przez redakcję „Climbinga”. Oto przyznane wyróżnienia za 2005 r. w poszczególnych kategoriach i oryginalnie podanej kolejności („Climbing” nr 247 s. 54-59):

Wspinanie skałkowe, tradycyjne: Didier Berthold (Szwajcaria), nowa droga *Learning To Fly* (5.13+) w Indian Creek, Utah.

Wspinanie alpejskie: Alessandro Beltrami (Włochy), Rolando Garibotti (Argentyna) i Ermanno Salvattera (Włochy), nowa droga *El Arca de los Vientos* (VI, 1200 m) na Cerro Torre w Patagonii.

Wspinanie solowe: Michael Reardon (USA), pierwsze solowe (bez znajomości) przejście *Romantic Warrior* (5.12b, 9 wyciągów) w Needles, Kalifornia.

Wspinanie wysokościowe: Amerykanie Vince Anderson i Steve House, nowa droga VII 5.9 M5 W14, 4100 m w stylu alpejskim na ścianie Rupał, Nanga Parbat, Pakistan.

Bouldering: Fred Nicole (Szwajcaria), nowa droga *Terremer* (V16) w Hueco Tanks, Teksas.

Serwis: American Alpine Club, za zorganizowanie pomocy finansowej i rzeczowej dla poszkodowanych w trzęsieniu ziemi w górskich rejonach Pakistanu i Indii w październiku 2005 r.

Wielkościanowe wspinanie klasyczne: Tommy Caldwell (USA), przejście jednego dnia klasycznie dwóch dróg *The Nose* (5.14a) i *Freerider* (5.12d) na El Capitan w Yosemite. Caldwell został także wybrany przez czytelników „Climbinga” wspinaczem roku.

Wspinanie sportowe: Dani Andrada (Hiszpania), nowa kombinacja dróg *La Novena Enmienda* (5.15a/b) w Santa Linya, Hiszpania.

oprac. Władysław Janowski

Doroczna nagroda PZA – „Jedynka”

„Jedynka” jest nagrodą wszystkich środowisk wspinaczkowych. Do nagrody, przyznawanej tylko jednej osobie/zespołowi/wyprawie raz do roku, nominowani są zdobywcy nagród KWiU PZA za sezon letni i zimowy oraz pretendenci zgłoszeni przez członków Kapituły. „Jedynka” może być przyznana zarówno za konkretne osiągnięcie jak i za całość działalności w danym roku.

„Jedynka” jest z założenia nagrodą arbitralną, ponieważ porównuje ze sobą trudno porównywalne dyscypliny, takie jak himalaizm, alpinizm, wspinaczka skałkowa, sportowa, narciarstwo wysokogórskie a nawet ski-alpinizm. Jest również subiektywna, bo każdy z członków Kapituły ocenia zgłoszenia według własnych kryteriów

W skład kapituły „Jedynki” wchodzi: Grzegorz Głazek, Piotr Korczak, Janusz Kurczab, Andrzej Marcisz, Krzysztof Pankiewicz, Artur Paszczak, Ludwik Wilczyński, Krzysztof Wielicki i Piotr Xięski.

Jednogłośnie werdyktem Kapituły, zdobywcą Jedynki 2005 został Piotr Morawski za pierwsze zimowe wejście na Shisha Pangma 8027m, w zespole z Simone Moro. Ponadto, udział w wyprawie wzięli: kierownik Jan Szulc, Jacek Jawień i Dariusz Załuski.

Szkoła imienia Polskich Alpinistów

Gimnazjum Nr 2 w Koninie przybrało imię Polskich Alpinistów. Wybór patrona szkoły nie był łatwy. Zgłoszono wiele kandydatur zasłużonych w najrozmaitszych dziedzinach. Na początku czerwca 2003 r.

przeprowadzono referendum, którego celem było wyłonienie ostatecznego kandydata. Po głosowaniu uczniów i nauczycieli, zwyciężyli Polscy Alpinisci, uzyskując znaczną przewagę nad drugim z kolei – Albertem Einsteinem. Zwraca uwagę fakt, że jest to pierwsza szkoła w Polsce nosząca takie imię. W oficjalnej uroczystości nadania szkole imienia Polskich Alpinistów w dniu 4 kwietnia 2005 roku wzięli udział Sekretarz Generalny PZA Jerzy Natkański oraz Dariusz Załuski.

Zarząd PZA oraz redakcja „Taternika” apeluje o wysyłanie kartek z wypraw, z pozdrowieniami dla naszych sympatyków – uczniów i nauczycieli gimnazjum, na adres:

Gimnazjum Nr. 2 im. Polskich Alpinistów, Ul. Turkusowa 1A, 62-504 Konin;

Izba Pamięci Jerzego Kukuczki

W związku z zapytaniem na temat Izby poświęconej pamięci naszego najwybitniejszego himalaisty, pragnęlibyśmy podać trochę szczegółów na temat jej funkcjonowania.

Izba mieści się w miejscowości Istebna Wilcze (Beskid Śląski), nr domu 340. Opiekuje się nią żona Jurka – Celina Kukuczka. Drogę dojścia ułatwia znak na znajdującej się nieopodal stacji benzynowej. Izba czynna jest w weekendy, dni świąteczne, a ponadto – w wakacje, tak letnie jak i zimowe. Możemy w niej obejrzeć wiele pamiątek po Jurku – sprzęt taternicki, fotografie, medale, puchary itp.

Co roku w okolicy Istebnej odbywają się rajdy piesze szlakiem im. Jerzego Kukuczki, swój początek i koniec mające przy Izbie Pamięci. Zjeżdżają się wówczas uczniowie i nauczyciele licznych szkół noszących imię Jerzego Kukuczki, turyści i taternicy, a w Izbie odbywają się prelekcje.

Strona wspomnień

Od około roku działa strona internetowa prowadzona przez czołowego taternika lat sześćdziesiątych – osiemdziesiątych, autora sławnych *Pilchówek*, Ryszarda Pilcha. Strona poświęcona jest różnym wspominkowym fotografiom, wspinaczkowym i towarzyskim, z tego – a także innych okresów, głównie z Tatr i skałek. A oto adres strony:

<http://irys.um.pabianice.pl/gallery>

Za pośrednictwem „Taternika” Rysiek zwraca się z apelem do wszystkich, którzy posiadają zdjęcia z dawnych lat i chcieliby podzielić się wspomnieniami, o nadsyłanie ich na adres: rysiek@studio.clubnet.pl

Nowe znaczki o tematyce himalajskiej

Po wielu miesiącach milczenia przekazuję dwa skany nowych znaczków Nepału, jakie pojawiły się jesienią 2004 i w maju 2005. W pierwszym przypadku, na znaczkach widzimy wszystkie szczyty ośmiotysięczne leżące w granicach Nepału. Pięćdziesiąta rocznica zdobycia Cho Oyu była okazją dla poczty tego kraju do pokazania pięknych panoram ośmiu ośmiotysięczników. Sama zaś rocznica została podkreślona opisem na brzegach arkusza drukarskiego. Uważam, że dobrym pomysłem było wydrukowanie wszystkich znaczków obok siebie.

Kolejne znaczki wydane w maju 2005 roku też są rocznicowe – również dotyczą szczytów zdobytych 50 lat temu – Kangchenjungi i Makalu. Jednak nie ustrzeżono się błędów: zamiast Kangchenjungi, znaczek przedstawia dobrze nam znany Kangbachan, zdobyty przez wyprawę polską w 1974 r.

Mieczysław Rożek



Nowy przewodnik W. Cywińskiego i nowe drogi wspinaczkowe

Władysław Cywiński – autor jedenastu, jak dotąd, tomów szczegółowego przewodnika po Tatrach – kończy kolejny tom opisem Wołowego Grzbietu – od Żabiej Przełęczy do Czarnostawiańskiej Przełęczy. Tym samym WC zamyka w kilku tomach (Grań Żabiego, Cubryna, Rysy, Mięguszwieckie Szczyty, Szpiglasowy Wierch) topograficzną i taternicką dokumentację całego basenu Morskiego Oka, pozostawiając na boku tylko Kazalnica i Mnicha. Jak sam mówi, monografii tych gór i ich ścian, autorstwa innych, jest na rynku przewodnikowym dość.

Niemal cały letni sezon 2005 spędził Włodek w ścianach szczytów, tworzących Wołowy Grzbiet. Przy okazji badania i opisu wszystkich najdrobniejszych formacji skalnych, WC – podobnie jak to miało miejsce przy opracowywaniu innych tomów – poprowadził, sam lub z partnerami, wiele nowych dróg. Niektóre pomysły hojnie odstąpił przyjaciołom.

Andrzej Skłodowski

Marco Bianchi: „Na szczytach Alp”

Wyd. Muza S.A. i D.W. Bellona, Warszawa 2005. 392 strony, format 290x210 mm. Druk i oprawa: Artes Gráficas Toledo, Hiszpania. Oprawa twarda. Przekład: Janusz Kurczab.

Autorem książki jest alpinista o światowej sławie, uczestnik wielu wypraw w najwyższe góry świata, zdobywca K2. Album jest owocem połączenia kunsztu fotograficznego autora i jego pasji alpinistycznej. Fascynujące panoramiczne zdjęcia Alp, od Monviso do Dolomitów i Grossglocknera, zbliżenia najciekawszych obiektów, zadowolą zarówno alpinistów jak i „szeregowych” miłośników gór i fotografii. Uzupełnieniem są opisy rejonów alpejskich, historia zdobycia przedstawianych na zdjęciach ścian, rysowania dróg oraz oznaczenia identyfikujące poszczególne obiekty na zamieszczonych panoramach.

Tomasz Hreczuch: „Prostowanie zwojów”

Wyd. Annapurna i STAPIS, Katowice 2006. 176 stron, format 160x230 mm, oprawa miękka plus obwoluta.

Książka ukazała się w serii „Literatura górską na świecie”, Jest to rzecz o górach, wspinaczce, towarzyszących jej sytuacjach absurdalnie-ekstremalnych, o naturze ludzkiej, o głupocie i błędach młodości, o ambicji, uporze i strachu... Napisane lekkim piórem, błyskotliwie i z humorem, inteligentnie, ale bez patosu.

Richard Goedecke: „Alpejskie czterotysięczniki”

Wyd. Sklep Podróżnika, Warszawa 2006, 256 stron, oprawa miękka, format 120x170 mm. Przekład: Anna Chlebicka, Krzysztof Smólski, Ewa Tomaszewska.

Pierwsze polskie wydanie wielokrotnie wznawianego w wielu językach przewodnika. Autor poglądowo opisuje normalne drogi na wszystkie czterotysięczniki alpejskie, które figurują na oficjalnej liście UIAA. Opisane są trudności, ale też satysfakcja związana ze zdobyciem poszczególnych szczytów. W książce zawarto dokładne opisy i schematy dróg, wiele kolorowych zdjęć, zachowując przy tym kieszonkowe wymiary.

Krzysztof Treter: „Wspinaczka skalna”

Wyd. Pascal, Bielsko-Biała 2005. 296 stron, format 165x235 mm. Oprawa miękka, foliowana.

Podręcznik wspinaczki skalnej, napisany z uwzględnieniem specyfiki wspinania w rodzimych rejonach skalnych, a także zgodny z doktryną szkolenia obowiązującą w naszym kraju. Dla adeptów wspinaczki może być znakomitą uzupełnieniem wiedzy i umiejętności zdobywanych na kursach, prowadzonych przez licencjonowanych instruktorów, a dla tych ostatnich – istotną pomocą w szkoleniu.

Jan Babicz, Dariusz Traczyk: „Alpy”

Wyd. Sklep Podróżnika, Warszawa 2006, 320 stron, oprawa miękka, foliowana, format 120x165 mm.

Drugie, poprawione wydanie (pierwsze w 1994 r.) popularnego przewodnika adresowanego do szerokiego kręgu odbiorców, zarówno turystów, jak i średnio zaawansowanych alpinistów. W drugim wydaniu zaktualizowano także część informacyjną, uzupełniając dane schronisk i wszelkich punktów obsługi turystycznej o adresy e-mail i odnośniki do stron internetowych.

Krzysztof Sas-Nowosielski: „Odżywianie w sporcie wspinaczkowym”.

Wyd. Polski Związek Alpinizmu, Komisja Szkolenia 2004. 114 stron, format 145x210 mm. Oprawa zeszytowa, foliowana.

Drugie wydanie bardzo popularnej wśród wspinaczy sportowych pracy tego samego autora. Obecny zeszyt Szkoleniowy, pod redakcją Wojciecha Świącieckiego, ukazał się po z górą 10 latach od pierwszego wydania. Nie znajdziemy tu gotowych jadłospisów, lecz raczej zbiór zasad, których znajomość pozwoli samodzielnie konstruować sobie własną dietę, w zależności od potrzeb i możliwości.

Asekuracja „na wędkę”

W odpowiedzi na liczne pytania kierowane pod moim adresem, odnośnie zasad asekuracji na wędkę i pracy z dziećmi, przedstawiam kilka wypracowanych wskazówek odnośnie tego zagadnienia. Oczywiście temat został tylko poruszony a nie wyczerpany, a doświadczenie instruktora, pedagoga w pracy z dziećmi i klientami, ostatecznie decyduje o tym kto, kiedy i co już może robić pod naszym okiem.

Asekuracja „na wędkę” (z górną asekuracją).

A – osoba asekurująca (asekurator) **B** – osoba wspinająca się (wspinacz)

Wizualna wzajemna kontrola dotyczy:

- poprawności założenia i zapięcia upręży
- sprawdzamy, czy liny nie są skręcone
- czy lina jest poprawnie przywiązana do upręży za pomocą węzła ósemkowego
- sprawdzamy poprawność założenia liny do przyrządu asekuracyjnego i karabinka zakręcane-go oraz jego wpięcia do łącznika upręży.

Po tych czynnościach następują komendy:

B: mogę iść?; **A:** Możesz iść!; **B:** idę!; **A:** Idź!

Uwaga!

1. Opisane czynności i rysunki dotyczą asekuracji przez osoby praworęczne.
2. Postawa asekuranta: w czasie asekuracji i opuszczania wspinacza asekurator powinien stać w wykroku rozkrocznym, lewa noga z przodu, stopy lekko na zewnątrz. Należy stać przodem do stanowiska górnego, maksymalnie 3 m od ściany, lekko z boku.
3. Ułożenie dłoni na linie w czasie asekuracji przez asekuranta:
 - pod przyrządem – kciukiem w kierunku przyrządu
 - nad przyrządem – kciukiem do góry
 - wszystkie palce obejmują linę (chwyt zamknięty)

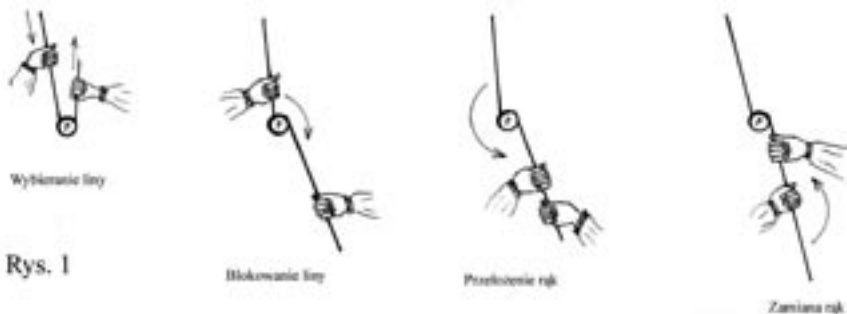
W czasie wspinaczki wspinacz **B** dopasowuje szybkość swojego wspinania do szybkości asekuracji (wybierania liny) przez asekuranta.

Sposób wybierania liny: Rys. 1

wybieranie – dłonie zawsze obejmują wszystkimi palcami linę. Lewa ręka wprowadza linę do przyrządu z wysokości czoła, a prawa ją wybiera. Wybieranie wykonujemy bardzo szybko gdyż w tej pozycji przyrząd jest odblokowany. Obie liny w czasie wybierania pracują równolegle obok siebie.

blokowanie – lewa ręka na linie nad przyrządem około 5 cm, prawa ręka blokuje linę pod przyrządem poniżej biodra.

przełożenie rąk na zablokowanej linie – prawa ręka z liną poniżej biodra, lewą rękę przekłada-



Rys. 1

my na linę pod przyrząd (ok. 10 cm). Obie ręce są pod przyrządem. Teraz prawą rękę przekładamy nad rękę lewą, pod przyrząd.

powrót do pozycji wyjściowej – prawa ręka trzyma linę pod przyrządem, a lewa ręka chwyta linę ponad przyrządem, na wysokości czoła.

Po dojściu wspinacza do końca drogi następują komendy :

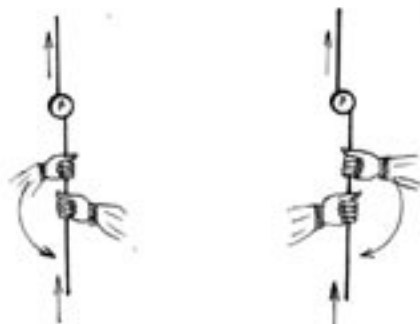
B: blok!

A: jest blok! (asekuran wybiera maksymalnie linę, aż do jej napięcia, następnie obie ręce trzymają linę pod przyrządem, pomiędzy nogami. Asekurant obciąża linę także własnym ciężarem obniżając biodra).

B: dół!

A: jest dół! (asekurant opuszcza wspinacza poprzez przekładanie rąk na linę pod zablokowanym przyrządem, górna ręka pod dolną, kontrolując szybkość opuszczania, itd., aż do opuszczenia wspinacza do półprzysiadu). Rys. 2

Wspinacz **B** po komendzie „blok” siada w uprząży, nogi uniesione w przód w rozkroku, stopami oparte o ścianę ugięte w kolanach, ręce szeroko, uniesione na wysokość klatki piersiowej, ugięte w łokciach, podobnie jak nogi stabilizują sylwetkę w trakcie opuszczania.



Rys. 2

Opuszczanie

Uwagi:

1. W czasie wspinaczki możliwe jest również odpadnięcie lub poproszenie o blok przez wspinacza; wtedy stosuje się komendy:

B: blok; **A:** jest blok; **B:** idę dalej (lub: dół); **A:** idź (lub: jest dół)

2. Lina powinna być ciasno dowiązana węzłem ósemkowym do uprząży. Długość końcówki liny wychodzącej z węzła powinna

wynosić minimum 10 średnic liny (np. gdy średnica liny wynosi 11 mm, to z ósemki wychodzi 11 cm liny). Oczywiście końcówka liny nie powinna być zbyt długa, np. 40 cm (optymalnie 20 cm).

3. Podczas nauki asekuracji i pracy z dziećmi tworzymy zespoły trzyosobowe; jedna osoba się wspina, druga asekuruje, a trzecia – zabezpiecza asekuranta i obserwuje go, oburącz luźno trzyma linę ok. 2 m za asekurantem, wybierając ją lub wydając, w zależności od tego, czy asekuran wybiera, czy opuszcza wspinacza.

4. Asekurant i wspinacz (szczególnie w okresie początkowym) a także dzieci, powinny mieć podobną masę ciała.

Z życzeniami bezpiecznej pracy,
Jacek Czech

Autor jest instruktorem wspinaczki sportowej i magistrem wychowania fizycznego – absolwentem Akademii Wychowania Fizycznego w Katowicach. Od 8 lat zawodowo trenuje dzieci i prowadzi ścianki wspinaczkowe w Orzeszu oraz szkołę wspinaczkową „W SKALE”, z własną bazą w Rzędkowicach. (red).

Regina Kardaś (1949-2005)

Północny wiatr nadchodził falami. Najpierw sły-
chać było jego wycie gdzieś na filarach Pizzi
Gemelli po lewej, potem uderzał wprost w nas, łó-
potał płachtą po twarzach. Od zmroku skupiali-
śmy się tylko na trwaniu i przytrzymywaniu płach-
ty. Skały pokrył lód... Siedzieliśmy przywiązani
liną na pochylonej ku przepaści, niewygodnej pół-
ce. Godziny mijały, wiatr nie słabł, ale w połowie
nocy rozeszły się chmury i poprawiła się widocz-
ność...

Niebo powoli jaśniało. Jeszcze rozmawialiśmy i
nic nie zapowiadało tragedii. Noc okazała się jed-
nak zbyt długa, wydłużona o ponad godzinę dra-
matycznego poszukiwania zasięgu komórki i kolej-
ne 40 minut oczekiwania na pomoc. Regina
odeszła cicho, gdy wypatrywałem nie nadlatującego
ciagle helikoptera. Trudno uwierzyć... Nie moż-
na się pogodzić.

Miała za sobą 35 lat działalności jaskiniowej w
Speleoklubie Warszawskim. W latach 1987-88
była wiceprezesem klubu, a od kilkunastu lat –
członkiem honorowym. Tatarnictwa jaskiniowego
nie traktowała sportowo (choć odwiedzała duże
jaskinie tatrzańskie), podziemia gór były dla niej
miejscem przeżyć, doznań estetycznych, fenome-
nem przyrody. Miała też swój udział w ich eksplo-
racji i dokumentowaniu – w Tatrach (w ramach
inventaryzacji OW PTPNoZ), Górach
Świętokrzyskich i Prokletiju (Czarnogóra). Poznała
wiele jaskiń Polski, a także Bułgarii, Słowacji,
Czech, Węgier, Jugosławii, Austrii, a nawet
Estonii. Nie musiały być duże, by fascynować –
jako geolog interesowała się nimi od strony nauko-
wej. Systematycznie uczestniczyła w Sympozjach
Speleologicznych Sekcji Speleologicznej Polskiego
Towarzystwa Przyrodników im. Kopernika, z któ-
rych zresztą wiele współorganizowała, będąc w la-
tach 1981-95 Sekretarzem Sekcji.

Była także alpinistką. Bardziej alpinistką niż
tatarniczką, gdyż oprócz standardowego zestawu
popularnych dróg tatrzańskich, wspiniała się głów-
nie w Alpach. Na wymienienie zasługują z pewno-
ścią piękne klasyczne przejścia w jej ulubionym
Bergell: północny kant Piz Badile, *via Bramani*
(*Piodakante*) na Punta Pioda (Sciora), *via*
Gervasutti na Punta Allievi, Bügeleisen na Pizzi
Gemelli, *via Steiger* na Punta da l'Albigna oraz
trudne drogi na Spazzacaldeira, Bio-Pfeiler, Piz
Frachiccio, Torre Innominata. Podczas 6 pobytów
w Bondo uzbierało się tych przejść ponad 20.

Były też inne masywy w Szwajcarii (Bernina –
także po stronie włoskiej, rejon Lötschental w

Berner Oberlandzie),
Austrii (Hochschwab,
Dachstein, Gesäuse,
rejon Höllental),
Włoszech (Grignetta),
Francji (Écrins).
Wspinała się także w
P r o k l e t i j u
(Czarnogóra).

Urzekł ją Bergell.
Pobyt tam był świętem
i nie sprowadzał się
tylko do wspinania: długie turystyczne wędrówki,
biwaki, poznawanie historii, zabytków, obyczajów,
miejscowe znajomości i przyjaźnie.

Urodziła się 9 VIII 1949 r. w Warszawie. Po stu-
diach na Wydziale Geologii UW całe swoje zawodo-
we życie związała z Muzeum Ziemi PAN. Pracowała
w nim od 1974 r., przechodząc kolejne stopnie
awansu – od stażysty do kustosa muzealnego, a
w 1990 r. została kierownikiem Działu
Popularyzacji. Była utalentowaną popularyzator-
ką nauki, wykraczającą daleko poza tradycyjnie
pojmowane muzealnictwo. Z wielką pasją angażo-
wała się w różne akcje i inicjatywy: udział w pro-
jekcie „Inne muzeum”, festiwale nauki, „Noc mu-
zeów”, warsztaty edukacyjne, lekcje muzealne...
Współorganizowała ciesząc się dużym zaintereso-
waniem wieloletni cykl spotkań „Podróżnicze pa-
sje” (z Agencją „Terra Incognita”).

Przedsięwzięcia muzealnicze z natury rzeczy są
działaniami zespołowymi, Ona była ważnym i
twórczym członkiem zespołu. Przez 30 lat współ-
tworzyła czy przynajmniej organizowała dziesiątki
wystaw. Nie tylko geologicznych – chętnie współ-
pracowała z artystami, prezentującymi sztukę in-
spirowaną przyrodą w cyklu wystaw „Natura –
sztuka”. Wśród powstałych z jej udziałem
ekspozycji szczególne miejsce zajmowały prezen-
tacje dorobku fotograficznego alpinistów i grotola-
zów (m.in. Szymona Wdowiaka, Krzysztofa
Wielickiego, Pawła Krzyszkowskiego). Jej dorobek
symbolicznie zamknęła wystawa „Wizerunki gór.
Krajobrazy górskie przed epoką fotografii”, w któ-
rej współtworzenie zaangażowała się bardzo w
ostatnich miesiącach życia (wernisaż odbył się w
maju 2005).

Zginęła w wyniku wychłodzenia na przymuso-
wym biwaku pod Passo di Bondo (Bergell) w dniu
4 sierpnia 2005 r. Odeszła najlepsza życiowa i
górska partnerka, dobry i mądry Człowiek.

Rafał Kardaś



Heinrich Harrer (1912 – 2006)

Gasną ostatnie gwiazdy wielkich lat trzydziestych. 7 stycznia we Friesach w Austrii zmarł czwarty ze zdobywców słynnej Eigersnordwand, Heinrich Harrer. Urodzony 6 lipca 1912 w Hüttenberg w Karyntii, karierę sportową rozpoczął jako olimpijczyk w 1936 roku. Światowy rozgłos zyskał, kiedy 24 lipca 1938 r. wraz z 3 kolegami stanął na szczycie Eigeru po pierwszym przejściu jego północnej ściany. W r. 1939 uczestniczył w wyprawie na Nanga Parbat (w czerwcu II wejście na Diamir Peak, 5570 m). Po zejściu w doliny, został internowany przez Brytyjczyków. Wraz z Peterem Aufschnaiterem zbiegł z niewoli. Idąc pieszo w poprzek Himalajów w ciągu 21 miesięcy pokonali 2000 km i 50 przełczy wyższych niż 5000 m. W Tybecie Harrer bawił w latach 1944-51 i zaprzyjaźnił się tam z młodym Dalajlamą, którego był nauczycielem. Przyjaźń przetrwała całe życie. Do jego późniejszych światowych sukcesów należały pierwsze wejścia na Ausangate w Cordillera Vilcanota (6380 m – 24 lipca 1953), na Mount Deborah (3822 m – 23 czerwca 1954) i Mount Hunter (4450 m – 5 lipca 1954) na Alasce oraz na najwyższy szczyt Oceanii, Carstensz Pyramid (4884 m – 13 lutego 1962). O Eigerze, swoich przygodach w Azji i podróżach po świecie napisał przeszło 20 książek, tłumaczonych na różne języki. Do najważniejszych należą: „Sieben Jahre in Tibet” (1954, polski tytuł „Siedem lat w Tybecie” 1997), „Die Weiße Spinne. Die Geschichte der Eiger-Nordwand” (1961, „Biały Pająk”, 2000) oraz „Ich komme aus der Steinzeit – Ewiges Eis im Dschungel der Südsee” (1963). Pierwsza z tych książek (przełożona na 53 języki) została przypomniana przez film, nakręcony w r. 1997 przez

Jeana-Jacquesa Annauda.

Ogromne zbiory zgromadzone w trakcie podróży (4 tys. eksponatów, 100 tys. zdjęć i dokumentów) wypełniają Heinrich-Harrer-Museum w Hüttenbergu, w którym buddyjską salę modłów i ścieżkę patniczą pobłogosławił osobiście Dalajlama podczas wizyt u przyjaciela w latach 1992 i 2002.

Heinrich Harrer podsumował swe bogate życie w autobiografii „Mein Leben” (2002). W Austrii należał do wybitnych osobistości, europejską prasę bulwarową bardziej jednak niż zasługi interesowała jego służba w Waffen SS, choć była wolna od obciążających podejrzeń. Przybyły na pogrzeb delegat tybetański odczytał przesłanie Dalajlamy. Podziękował on Zmarłemu za jego przyjaźń i nauki, które kiedyś otworzyły mu oczy na świat Zachodu. Stwierdził też, że w jego osobie odchodzi ostatni zachodni świadek wolnego Tybetu sprzed lat. Na grobie Harrera położono głaz z północnej ściany Eigeru.

Józef Nyka



Tadeusz Rojek (1941- 2005)

Zmarł nagle, nie w górach, ale kiedy wracał z treningu z kortów tenisowych w Wałbrzychu, gdzie mieszkał od czterdziestu lat. Był cenionym inżynierem budownictwa lądowego, projektantem w specjalności konstrukcyjno-budowlanej, a z zamiłowania - taternikiem jaskiniowym, podróżnikiem.

Swoją przygodę z jaskiniami, rozpoczął w czasie studiów na Politechnice Śląskiej w Gliwicach. Razem z Christianem Parmą i Aleksandrem Kapurą był współzałożycielem Koła Taternictwa Jaskiniowego przy Oddziale PTTK w Gliwicach, późniejszego Akademickiego Klubu Grotołazów. Początkowa działalność jaskiniowa ograniczyła

się do poznawania jaskiń Wyżyny Krakowsko-Częstochowskiej i niektórych znanych jaskiń tatrzańskich a także jaskiń w górach Bukowych na

Węgrzech. Tadek po studiach wstąpił do Sekcji Taternictwa Jaskiniowego, działającej przy Klubie Wysokogórskim w Zakopanem, do której należał w tym czasie również Parma. To właśnie Christian zaproponował mu udział w wyprawie do jaskini Gruberhornhöhle w Austrii, która wówczas miała 710 metrów głębokości i była naj-



głębszą w Alpach Austriackich. W trzyosobowym zespole, dokonali jej przejścia do dna w czasie 45 godzin. Jak na tamte czasy (koniec lat sześćdziesiątych) był to wyczyn, zważywszy, że nie znali jej topografii. Była to w ogóle pierwsza w historii, polska wyprawa do jaskiń Austrii.

W następnym roku Tadeusz uczestniczył w wyprawie eksploracyjnej KTJ KW do tej jaskini, przyczyniając się w znacząco do zwiększenia jej deniwelacji do 854 m. Na początku lat siedemdziesiątych, w kiluosobowym zespole polsko-ukraińskim wyjechaliśmy w góry Pamiro-Alaju, gdzie w nieznanym dotąd Polakom rejonie, prowadziliśmy działalność jaskiniową i powierzchniową, której efektem było m. in. zejście na dno jaskini Kan i gut (-175m) i wejście na trzy dziewięćsety o wysokości około 5000 metrów.

Marzeniem Tadeusza było zorganizowanie wyprawy do jednej z najgłębszych jaskiń Włoch. Urzeczywistniło się ono w 1973 roku, kiedy kierował wyprawą AKG z Gliwic do jaskini Spluga della Preta o głębokości 878 metrów, wówczas drugiej co do głębokości jaskini we Włoszech. W latach siedemdziesiątych uczestniczył również w wyjazdach do jaskiń Krymu – Kyzyl Koba i Emine Bair Hosar, a także do jaskiń słowackich i na Węgrzech.

W 1980 roku ponownie działaliśmy razem w jaskiniach masywu Hoher Göll w Austrii. Doszło wówczas do odkrycia i wyeksplorowania jaskini Jubiläumhöhle do głębokości 475 metrów. W następnym roku nasi grotolazi pogłęбили ją do 1173 metrów. W czasie jubileuszowej wyprawy odkryliśmy również 10 innych jaskiń, w tym najwyższą położoną Veteranenschacht, weksplorowa-

ną przez Tadeusza. W 1987 roku pojechał na egzotyczną wyprawę Alpinistycznego Klubu Eksploracyjnego w Sopocie w masyw Chiang Dao położony na północy Tajlandii. Uczestnicy tej wyprawy wyeksplorowali i skartowali 36 jaskiń o łącznej długości 4,2 km.

Tadeusz był nadzwyczaj koleżeński, a w wielu trudnych sytuacjach można było na jego pomoc zawsze liczyć. Te moje spostrzeżenia potwierdza także Zbyszek Kacuga: „Tadeusz nigdy mnie nie zawiodł w swej życzliwości, wsparciu, czy wręcz pomocy i chyba nie mnie jednego”. Na wyprawach górskich i jaskiniowych nie cofał się przed trudnościami, przezwyciężał swoje słabości i potrafił się maksymalnie sprężyć. Rysował plany i przekroje jaskiń, a w miarę wolnego czasu również publikował. Jest współautorem „500 zagadek o jaskiniach” oraz opracowania „Jaskinie Sudetów”, a także autorem licznych artykułów, głównie o tematyce jaskiniowej, w czasopismach specjalistycznych. Odnaczony został Srebrnym Krzyżem Zasługi a także odznaczeniami resortowymi, m. in. Złotą Honorową Odznaką NOT.

Tadeusz był całe życie aktywny sportowo. W zimie na sali grał w siatkówkę i jeździł na nartach, a latem uprawiał turystykę i grał w tenisa. Przed dwoma laty niewłaściwe rozpoznanie i leczenie wyłączyło go z aktywności sportowej. Po roku przerwy nadrabiał zaległości w treningu i chciał ponownie powrócić do aktywnego sposobu życia. Może nie zastanowił się nad znaną prawdą życiową, że góry z wiekiem są coraz wyższe a to, co kiedyś było łatwe – staje się coraz trudniejsze.

Apoloniusz Rajwa

Józef Frączek(1920 - 2006)

Urodził się w Pisarzowej, w Beskidzie Wyspowym. Szkołę średnią ukończył w Nowym Sączu, a potem rozpoczął studia filozoficzne, które przerwała wojna. Pod koniec lat czterdziestych studiował na uczelni technicznej. Kiedy został inżynierem mechanikiem podjął pracę pedagogiczną w Technikum Mechanicznym w Nowym Targu. Uczył też matematyki i fizyki w zakopiańskim Liceum Ogólnokształcącym. Wtedy zaimponował się na dobre pod Tatrami i nawiązał kontakt z zakopiańskimi grotolazami, którzy właśnie utworzyli Koło Jaskinioznawcze PTTK. Przewodniczącym Koła był Stefan Zwoliński. Od tego czasu jaskinie i wszystko co się z nimi wiązało, stały się życiową pasją Józka. Najpierw z innymi grotolazami starszego pokolenia poznawał najczęściej odwiedzane

jaskinie, takie jak Żimną, Kasprową Niżnią, Bystrą, Magurską i Kalacką, a potem rozpoczął penetrację rejonu Wawozu Kraków, gdzie odkrył kilka mniejszych jaskiń. Tam też w lipcu 1955 roku dokonał pierwszego dużego odkrycia – Jaskini Wysokiej, której wstępne partie wyeksplorował wraz z zakopiańskimi grotolazami.

Największe odkrycia jaskiniowe, jakich dokonał w Tatrach, przypadają na lata 50. i 60. ubiegłego wieku. Kiedy rozpoczęła się eksploracja pionowych jaskiń w Czerwonych Wierchach, Józek był jednym z pierwszych. Miał niezwykłą intuicję w wyszukiwaniu problemów jaskinio-



wych. Był odważny, ale nie przekraczał granicy ryzyka, chyba, że chodziło o życie współtowarzysza wyprawy. Jako kierownik akcji jaskiniowych sprawdził się wielokrotnie w trudnych sytuacjach. Każde działanie dokładnie zawsze prze-myślał i konsekwentnie realizował. Jako mechanik, był pomysłodawcą i wykonawcą nowatorskich rozwiązań w zakresie sprzętu potrzebnego do pokonywania jaskiń pionowych. W swoim warsztacie na Wałowej Górze konstruował maszty składane, wyciągarki, różne bloczki i przyrządy do wychodzenia po linie, których działanie sam sprawdzał w jaskiniach.

Trudno zliczyć dni, które poświęcił badaniom podziemi tatrzańskich. Ma wiele w swym dorobku odkryć ale największe w Jaskini Śnieżnej, która była jaskinią jego życia. Dzięki zapałowi, żmudnej i konsekwentnej eksploracji, jaskinia ta już po kilku tygodniach od momentu odkrycia stała się najgłębszą w Polsce, a w następnym roku – jedną z najgłębszych na świecie. Jego nazwisko, obok takich jak Janusz Onyszkiewicz, Bernard Uchmański, Krzysztof Zdzitowiecki i Władysław Palider, na stałe wpisało się w historię pierwszego okresu eksploracji największej jaskini w Polsce – Wielkiej Śnieżnej. Również w dwóch innych jaskiniach, położonych w Czerwonych Wierchach, dokonał znaczących odkryć – Ptasiej

Studni i Wielkiej Litworowej. To w pionowych studniach tej drugiej sprawdzał działanie wyprodukowanych w swoim warsztacie „jumarów” – przyrządów do wychodzenia po linie, a miał już wtedy 45 lat.

Miał swoje ulubione jaskinie, w których odgruzowywał szczeliny, poszerzał zaciski, odkrywał nowe partie. Towarzyszyli mu w tym młodzi grotołazi zakopiańscy, którzy uczyli się od niego jaskiniowego rzemiosła. Józek w latach 1965-67 pełnił funkcję prezesa Sekcji Taternictwa Jaskiniowego KW w Zakopanem, był też przewodniczącym Koła Jaskinioznawczego PTTK, a także członkiem Komisji Taternictwa Jaskiniowego ZG KW. Jeszcze w wieku 70 lat chodził czasem do łatwiejszych jaskiń, a w życiu Speleoklubu Tatrzańskiego uczestniczył do ostatnich lat życia.

Pożegnanie Józka Frączka, członka honorowego Speleoklubu Tatrzańskiego i nestora zakopiańskich grotołazów, odbyło się 30 stycznia na nowym cmentarzu zakopiańskim. W imieniu licznie zgromadzonych przyjaciół oraz grotołazów i taterników pożegnał go niżej podpisany. Kiedy opuszczano do grobu trumnę, zachodzące słońce oświetlało masyw Czerwonych Wierchów, szczególnie bliski sercu Józka.

Apoloniusz Rajwa

Andrzej Zboiński (1935 - 2006)

W dniu 19 lutego 2006 roku zmarł po ciężkiej chorobie Andrzej Zboiński, założyciel i wieloletni Prezes Mazowieckiego Klubu Górskiego „MATRAGONA”, turysta, taternik, alpinista i himalaista, inicjator i organizator licznych obozów górskich i wypraw, poczynając od Bieszczad po Himalajskie szczyty. Człowiek o niespożytej energii, zawsze pełen pomysłów, którym towarzyszyła rzadka zaleta - ich konsekwentna realizacja.

Urodził się w 1935 roku. Studiował na Wydziale Geologii Uniwersytetu Warszawskiego uzyskując tam magisterium. Wędrówki po Bieszczadach i Tatrach w latach 50. i 60. zeszłego wieku dały początek zauroczeniu górami, którym poświęcił całą swoją aktywność. Okazał się świetnym organizatorem, co zaowocowało powołaniem w 1964 roku Mazowieckiego Klubu Górskiego „Matragona”, na czele którego stanął na ponad 41 lat. Na Mazowszu był inicjatorem i przez ponad 30 lat organizatorem corocznych „Zimowych Rajdów Nocnych” oraz „Maratonów Piesznych w Puszczy Kampinoskiej”. W tych ostatnich jako najwytrwalszy uczestnik wszystkich 32 maratonów przeszedł łącznie 3000 km.

Kierował obozami w górach Bułgarii – w Rile, Rodopach i Pirinie, w Alpach Julijskich, Alpach Transylwańskich, w których dokonano przejścia grani głównych Fagaraszu, Cindrellu i Sureanu. Organizował wyjazdy na Sumatrę, z wejściem na dwa wulkany w tym na najwyższy Kerinci (3805 m.), a także do Afryki, z wejściem na Kilimandżaro.

Oprócz górskiej działalności turystycznej, wspinał się. Był członkiem Klubu Wysokogórskiego a potem w MKG „Matragona” powołał Sekcję Alpinizmu zrzeszoną w PZA. Przeszedł wiele dróg wspinaczkowych w Tatrach latem i zimą. W Pirynie prowadził latem nowe drogi (1973, 1980), kierował zimowym przejściem części głównej grani, zakończonym gwałtownym załamaniem pogody (1971). Wspinał się też w górach Turcji i w Hindukuszu.

Po doświadczeniach hindukuskich w 1976 r., szukając czegoś naprawdę dzikiego na globie, Andrzej natyka się na Himalaje Zachodnie (Indie). Zaczyna



się, mający początek w 1977 r. i trwający do 2005 r., okres eksploracji Himalajów Lahul w indyjskim Himachal Pradesh. W ciągu ponad 25 lat zorganizował 9 wypraw eksploracyjnych, odkrywając dla alpinistów dzikie doliny tego pasma górskiego jak Panch Nala Valley, a także dokonując pierwszych wejść na otaczające szczyty. Stał się największym na świecie znawcą tego rejonu himalajskiego. Po rekonesansie doliny Koa Rong z wejściem na dziewiczą turnię (5606 m.) w grani szczytu KR1 w 1977 roku, od 1979 roku wyprawy prowadzone przez Andrzeja dokonały 12 pierwszych wejść na szczyty powyżej 5500 m leżące w otoczeniu doliny Panch Nala i lodowca Padia. W 1984 roku następuje zdobycie dziewiczego szczytu KR2 (6194 m.), a w 1994 KR8 (6156 m.). Trzeci ze zdobytych 6-tysięcznych dziewiczych szczytów w otoczeniu doliny Koa Rong nosi nazwę „Uruswati” – Światło Jutrzenki. Ze wszystkich swoich szczytów, z uwagi na trudności, najwyżej sobie cenił zdobycie 23 sierpnia 1984 wraz z Ryszardem Wroną szczytu KR2. Ostatnia wyprawa prowadzona przez Andrzeja w 2005 roku, dokonała ponownej (pierwsza w 2002 r.),

nieudanej z powodu gwałtownego załamania pogody, próby wejścia na dziewiczy szczyt oznaczony symbolem T2, o wysokości 6107 m.

Działalności wyprawowej i organizacyjnej Andrzeja towarzyszyła nierozdzielnie twórczość artystyczna – dokumentalna. Owocem tej działalności były liczne filmy i setki fotografii podziwiane na wystawach – ostatnia z nich miała miejsce w 2005 r. w Muzeum Sportu i Turystyki w Warszawie, na której pokazał dzikość i urok rejonu górskiego, który tak ukochał – Himalajów Lahul. Był odznaczony Złotą Honorową Odznaką PTTK oraz Odznaką „Zasłużony dla Turystyki”.

W ostatniej drodze towarzyszyła Mu muzyka Orkiestry Jednej Góry „Matragona”, przyjaciół bieszczadzkich o tych samych korzeniach górskich. Żegnaj Andrzeju, byłeś wspaniałym alpinistą, prawdziwym kolegą i godnym podziwu człowiekiem, nieodżałowanym Naszym Prezesem. Tyle lat, tyle górskich wspomnień Ci zawdzięczamy.

Marek Konecki

Od redakcji

Decyzją Zarządu PZA, w 2006 r. ukażą się dwa podwójne numery „Taternika”.

Jak dotychczas, pismo będzie sprzedawane w salonach prasowych EMPiK, w „Skleпах Podróżnika” i Antykwariacie Górskim „Filar” (patrz stopka redakcyjna). Proszę zwrócić uwagę, że oprócz dotychczas istniejących w Warszawie, Krakowie, Katowicach i Bielsku-Białej, otwarte zostały dwa nowe „Sklepy Podróżnika” w Łodzi i Poznaniu.

Nowością jest również, że od tego roku Biuro PZA oraz redakcja prowadzą prenumeratę i sprzedaż wysyłkową. W tym celu należy wpłacić w kasie PZA lub przekazem pocztowym, przelewem czy przez Internet, na konto

Polski Związek Alpinizmu
Ul. Noakowskiego 10 m. 12
00-666 Warszawa

Nr konta: 53 1160 2202 0000 0000 5515 6378

kwotę 10,- zł (dziesięć zł) za jeden egzemplarz. Cena zawiera koszty przesyłki. Należy koniecznie, oprócz imienia i nazwiska oraz celu przekazu, podać adres, na który mają być wysyłane egzemplarze czasopisma!

Wydanie numeru 3-4/2006 planowane jest na listopad b.r. Warunki prenumeraty na rok 2007 ogłosimy w numerze 3-4/2006 oraz na stronie internetowej PZA (www.pza.org.pl).

Członkowie honorowi PZA będą bezpłatnie otrzymywać „Taternika” do domu.

Z około rocznym opóźnieniem „Taternik” będzie dostępny na stronie PZA w formie *.pdf. Już obecnie można obejrzeć, lub ściągnąć ze strony, PDF-y numerów 3/2004, 4/2004, 1/2005 oraz 2/2005.

Ze względu na pogarszającą się sytuację finansową pisma, redakcja zwróciła się do Fundacji Wspierania Alpinizmu Polskiego im. Jerzego Kukuczki z prośbą o przyjmowanie wpłat również na cele związane z „Taternikiem”. Zarząd Fundacji przychylił się do tej prośby i już od bieżącego roku możliwe jest dokonywanie wpłat (np. odpisów podatkowych 1%) mających wesprzeć budżet „Taternika”.

Ponieważ redakcja zajmuje się także działami „Góry” i „Organizacyjne” na stronie internetowej PZA, bardzo proszę o nadsyłanie „gorących newsów” z gór, notatek, sprawozdań, czy zawiadomień o imprezach kulturalnych.

W związku z prawie półtorarocznym brakiem działalności redakcji działu jaskiniowego, proszę o przysyłanie materiałów związanych z działalnością jaskiniową bezpośrednio do mnie.

Proszę także zwrócić uwagę w stopce redakcyjnej na nowy adres e-mail redakcji oraz zmianę numeru telefonu.

Janusz Kurczab

CONTENTS

Stefan Glowacz about climbing & film.....	1
Mountain praise.....	2
Forgotten faces, hidden problems (J. Kurczab & A. Paszczak).....	3
The Polish climbers in the Alps – Winter 2006 (J. Radziejowski).....	6
The Winter of 2006 in the Tatra Mountains (M. Ciesielski).....	8
New climbing routes.....	12
Lotos & Fantasia (D. Kaszlikowski).....	13
Qonglai Shan Mountains (B. Ceranka).....	17
Karakoram 2005 (R. Sławiński).....	23
Ice routes in California (T. Bender).....	31
In the Bolivian Mountains (K. Konopka & A. Sławiński).....	33
Cerro Torre – <i>Compressor Route</i> (K. Belczyński).....	37
Sport climbing (A. Kamiński).....	38
Ski mountaineering.....	42
The 5 th International Cave Photography Contest.....	45
Proyecto Cheve (K. Biernacka & M. Gala)....	46
Miscellaneous.....	48
Book Reviews.....	52
Indoor climbing protection (J. Czech).....	53
Obituaries.....	55
• Regina Kardaś (1949 – 2005).....	55
• Heinrich Harrer (1912 – 2006).....	56
• Tadeusz Rojek (1941 – 2005).....	56
• Józef Frączek (1920 – 2006).....	57
• Andrzej Zboiński (1935 – 2006).....	59
From the Editor.....	59

ANTYKWARIAT GÓRSKI „FILAR” H. Rączka

Alabastrowa 98, 25-753 KIELCE

tel. 0413456219, 0502397162

Adres e-mail: filar@antykwariat-filar.pl

Oferta Internet: www.antykwariat-filar.pl

TATERNIK

**Magazyn informacyjny Polskiego Związku
Alpinizmu**

Ukazuje się od 1907 roku
Nr 1-2 (309-310) Rok 80 ISSN 0137-3155
kwartalnik (nakład 1300 egz.)

Redaktor

Janusz Kurczab
ul. Podskarbińska 7 m. 48, 03-834 Warszawa
tel./fax: +22 409 32 40
e-mail: taternik@pza.org.pl

Opracowanie graficzne, skład i druk

Zakład poligraficzny DRUK-POL
ul. Mińska 25, 03-808 Warszawa
tel./fax: +48 22 813 43 25
e-mail: info@druk-pol.com.pl
www.druk-pol.com.pl

Współpracownicy

Maciej Ciesielski, Grzegorz Głazek, Bogdan
Jankowski, Władysław Janowski (USA),
Małgorzata i Jan Kielkowscy (Niemcy),
Krystyna Konopka (USA), Adam Marasek,
Józef Nyka, Artur Paszczak, Jakub Radziejowski,
Apoloniusz Rajwa, Andrzej Skłodowski, Andrzej
Sławiński (Kanada), Wojciech Świącicki

Wydawca

Polski Związek Alpinizmu
ul. Noakowskiego 10/12, 00-666 Warszawa
+ 22 875 85 05
e-mail: biuro@pza.org.pl
www.pza.org.pl

Dystrybucja

Polski Związek Alpinizmu i Pol Perfect sp. z o.o.

Punkty sprzedaży

Salony EMPIK
oraz patrz ramki obok

Prawa do tytułu „Taternik” posiada Polski
Związek Alpinizmu. Prawa autorskie do publiko-
wanych w „Taterniku” tekstów, zdjęć, rysunków
i reklam są zastrzeżone. Przedruki są możliwe
wyłącznie za pisemną zgodą redaktora naczelnego
i pod warunkiem powołania się na źródło.

SKLEP PODRÓŻNIKA

e-mail: spw@rubikon.pl

www.traveler.com.pl

WARSZAWA
ul. Kaliska 8/10, tel. (022) 822 54 87
ŁÓDŹ
ul. Wschodnia 38, tel (042) 632 26 65
POZNAN
ul. Ślusarska 16, tel (061) 851 73 89

KRAKÓW
ul. Szujskiego 2
tel. (012) 421 89 22
ul. Jagiellońska 6
tel. (012) 429 14 85

BIELSKO-BIAŁA
ul. Wzgórze 9
tel. (033) 812 36 48
KATOWICE
pl. Wolności 8
tel. (032) 353 26 20



Michał Król na drodze *Rock'n Roll*, w dolinie Gastein.
Fot. Grzegorz Gaj



TATERNIK

Nr 1-2/2006 • UKAZUJE SIĘ OD 1907 ROKU



ISSN 0137-8155



9 770137 815006

CENA 10,00 ZŁ
(w tym 0% VAT)